Abonentów 13,000.

Nr. 45. Poznań, Niedziela 4-go Listopada 1900 r. Rok IV.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1 markę**; na poczcie w Austro-Węgrzech **59 cent.**
Pod opaską: w Niemczech **1,65 mr.**, w Austro-Węgrzech **1 złr.**, za Oceanem **1 dolar.**

Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr 295.

Od Redakcyi.

Zwracamy Szanownym Czytelnikom uwagę na specyalne numery „Pracy", które przygotowujemy w kwartale bieżącym. Będzie numer

poświęcony Polakom na obczyźnie,

dalej numer, którego treść wypełniać będą

artykuły o naszych pisarzach i poetach

z ich życiorysami.

Jednym z najbliższych numerów będzie

numer poświęcony naszej młodzieży.

Szan. Towarzystwa polskie na obczyźnie, które życzą sobie, aby o nich była wzmianka lub artykuł w rzeczonym numerze, prosimy o spieszne nadsyłanie materyału do druku.

* * *

W końcu zwracamy uwagę i na to, że już wkrótce rozpoczniemy druk bardzo zajmującej powieści pod tytułem:

„Przez ciernie i głogi."

Autorem jest Dr. Kazimierz Rakowski, były naczelny redaktor naszego pisma — którego policya pruska jako obcopoddanego nagłym ukazem wydaliła z poza granic niemieckiego państwa.

Powieść

„Przez ciernie i głogi",

napisana na tle obecnego systemu pruskiego, zaciekawi każdego czytelnika i spotęguje uwagę jego z numeru na numer aż do niecierpliwości.

Kto więc dotąd nie zaabonował „Pracy," niech to uczyni natychmiast!

Każda poczta zobowiązaną jest do przyjęcia przedpłaty, która do końca kwartału wynosi

tylko 67 fenygów

czyli

79 halerzy.

Prosimy usilnie wszystkich życzliwych i Przyjaciół o łaskawe zażądanie numerów okazowych „Pracy", a dostarczymy z podziękowaniem każdą ilość w celu rozdania takowych z zachętą do przedpłaty.

Każdy nowy abonent otrzyma za nadesłaniem kwitu pocztowego z dołączeniem 10 fen. na porto początki drukujących się powieści, a nadto

dwa piękne kolorowe obrazy

i to:

Herb Polski i Kościuszkę.

* * *

Kto zjedna choćby tylko jednego nowego abonenta i nadeśle nam odnośny kwit wraz z własnym kwitem, ten odbierze tytułem premii

piękną książkę,

zawierającą bardzo zajmującą powieść lub też

Nowy kalendarz Katolika.

Kto zaś zjedna kilku, a przynajmniej dwóch nowych abonentów — ten odbierze od nas

premią nadzwyczajną,

a mianowicie obszerną, patryotyczną, oryginalną powieść pod tyt.

Krwawy Chrzest

— w trzech tomach —

lub też wedle życzenia parę innych interesujących książek.



Na dzień zaduszny.

„Rzadko tu kto zagląda... Raz ptaszek samotny
„Zawiśnie i nad krzyże drżącą piosnkę nuci,
„Lub też z wiatrem rój muszek przelatuje psotny,
„Lub na grobie swej matki sierota się smuci."

Już z dawna mamy jesień... już listopad się zaczyna, już spadają, „lecą listki z drzewa" i z cichym szelestem tulą się do ziemi, szaro-żółtym całunem pokrywając ją na sezon zimowy. — Umilkły już wszędy ptaszęt wesołe chóry, a cisza i niemy smutek kładą się między ziemię a słońca promienie i zalegają przestwór.

Na taki to czas smętnej jakiejś ciszy w naturze przypada „dzień zaduszny," przez Kościół pamięci zmarłych i modłom za dusze ich poświęcony. Wychodzą tedy w wieczór Wszystkich Świętych tłumy pobożne za miasto, lub za wieś na cmentarz ze świeżemi kwiatami, by ubrać w nie groby, ze światłem gromnicznem, by zapalić je na mogiłach, niejako wyrażając nadzieję, że jako to światło na grobie dziś płonie, tak i ten zmarły, spoczywający dziś cicho w ziemi, kiedyś zbudzi się znowu do jasnego, płonącego

życia... Zaludni się cmentarz, to umarłych miasto, choć na godzin kilka; niejedno ciężkie westchnienie, niejedna łza gorąca na grób spadnie, a przed oczyma duszy staną nam drogie, z dawna niewidziane postacie tych, którzy snem wiecznym śpią oto już pod darnią zieloną, pod miękkiem przykryciem liści jesiennych. Niejednemu pamięć wyczaruje te postacie jak żywe i będzie z niemi tęsknił i dumał. Niechaj ten duma, co stoi nad grobem....

Nie zapominajmyż jednak w chwilach, w których każdy zwykł się oddawać rodzinnemu smutkowi i rodzinne swoje przeżuwać bóle, że my prócz grobów ojca i matki, brata lub siostry, mamy przecież wszyscy razem jedną wspólną mogiłę, jeden wielki grób, szeroki i rozległy, jak ta nasza ziemia lasza. Grób, w którym spoczywa nieć Ojczyzna nasza — bo ona żyje jako żywa w sercach naszych! — a jedno drzemie w nim jej i nasza wolność. Nie umarłać i ona, ale śpi! w to wierzymy wszyscy i czekamy, jako dla zmarłych naszych ciał zmartwychwstania w dzień ostateczny do wiecznego życia, tak i dla Ojczyzny naszej powstania do doczesnej wolności.

Jest zaiste dzisiaj ta ziemia nasza przepleciona jak gdyby wieńcem mogił polskich, z których każda droga sercu naszemu. Śpią w nich, na sen nieprzespany ukołysane hufce tych, co za kraj w boju krwawym legli, niedoczekawszy się wolności brzasku. Gdzież takich mogił u nas niema? Mamy je pod Wrześnią, Miłosławiem, Środą i Książem, mamy je pod Nową Wsią, Wągrowem, Ignacewem i Pyzdrami, mamy je pod Grochowem, Stoczkiem i Ostrołęką, mamy je pod Maciejowicami i na Racławickich polach. Prawdziwie to „girlanda mogił gdzieś idzie i ginie.“

Mamy tu w Poznaniu grób człowieka, który był dla nas mężem opatrznościowym i którego imię niech będzie u nas na wieki wieków błogosławione, a grób dla wszystkich święty, grób Karola Marcinkowskiego. On po daremnych krwawych zapasach wskazał nam nowe drogi odrodzenia, nauczył jak poświęceniem, natężoną a skrzętną pracą zdobywać prawo do życia i tytuł do przyszłości.

Mamy w Krakowie na Skałce „groby zasłużonych,“ groby tych, którzy życie całe oddali narodowi na usługi i służyli mu każdem tchnieniem swem; to też wdzięczny naród zapragnął ich mieć razem w starym Krakowie, by tam przed ich prochami czołem bić i uczyć się od nich po wszystkie czasy!

Mamy wreszcie tu w Poznaniu groby królów naszych, Mieczysława i Bolesława Chrobrego, a w Krakowie w podziemiach Wawelu groby Jagiellonów, Batorych, Wazów i Sobieskich, którzy po wiek wieków będą świadczyli o niezagasłej sławie naszej i dawnej wielkości i przypominać będą te czasy, w których i nasz naród potężnym był z swych sił i przed którym czołem bił upokorzony Prusak, Albert Brandenburski, wielki mistrz Krzyżaków, a którego następcy, Hohenzolerzy, zasiedli na tronie niemieckim, zlepionym krwią i pożogą . . . . . .

. . . .

Do tych to grobów niech wzleci w „dzień zaduszny“ myśl każdego Polaka, a przy nich nie potrzeba nam stawać z lamentem i skargą i łzą próżno straconą, lecz z uczuciem wzniosłej dumy niech się myśl zatrzyma i niech z nich każdy weźmie podnietę i sił zaczerpnie do wytrwałej pracy dla naszego wspólnego dobra:

„Groby wy nasze, ojczyste groby,
„Wy życia pełne mogiły,
„Wy nie ołtarzem próżnej żałoby,
„Lecz twierdzą siły!“

W tych to uczuciach i w niewzruszonem postanowieniu służenia wspólnie naszej dobrej sprawie jednoczy się w „dzień zaduszny“ ze wszystkimi swymi Czytelnikami i Przyjaciołmi

Redakcya „Pracy“.



U trumny Naczelnika.

Takie wielkie, wspaniałe trumny stoją dokoła bielonych ścian, stoją już lata całe, niektóre wieki całe. W trumnach tych tajemnica śmierci. Śpią cicho królewskie szkielety, odziane w złotogłowie i korony. Płomień pochodni drży w ręku przewodnika. Po tych grobowych pieczarach idzie się cicho z dziwnym w duszy lękiem. I głos przewodnika monotonnie mówi: tu Stefan Batory, tu Anna Jagiellonka, tu August, zwany mocny... Tyle trumien! to przeszłość Polski, ta przeszłość o królewskim majestacie, o husarskich skrzydłach, o wrzawach elekcyi, o lutni Kochanowskiego, o brzęku wiedeńskiej szarży! W piersiach dech zapiera. Więc oni są jeszcze, istnieją te szkielety, które zdawały się być mytem dla umysłów naszych. Myślami goniliśmy za nimi i dziś nagle, w grobowcach wawelskich stajemy przy ich trumnach, na których światło pochodni kładzie purpurowe blaski.

Królowie polscy! nasi królowie — niedościgłe cienia tronowych sal, w których teraz obcy żołnierze broń swą w kozły składają, a czerkiesi moskiewscy jatagany swe czyszczą. Słodkie postacie królewskich kobiet, wspaniałych w swych złocistych strojach, poważne, jak święte z obrazu pozdejmowane. I one tam leżą pod wiekami trumien, które jedne pozostały, jak cmentarze, napisy, świadczące o potędze i swobodzie naszego kraju. Robią wrażenie błyskawic. Jasność na ciemnem tle zabłysła nagle. To koronne złoto tak mignęło i znikło. Temi trumnami wyznaczona cała historya nasza. Rozwój, świetność, rozkład i zanik. Szkielety królewskie, to drogowe słupy po ścieżce, którą szła nasza Ojczyzna, aż doszła do kresu i tu złotogłowie i gronostaje na kir i krepę zmieniła. I od tej chwili ciągle już nosi krepę i kir, a na żałobne te szaty korale krwi haftują purpurowe kwiaty.

— Sobieski, tu Jan Kazimierz — mówi przewodnik — i powoli dochodzimy do cokolwiek większej krypty.

— Tu... Kościuszko!...

Co się dzieje w naszych duszach. Ta trwoga, ta rozpacz, ten lęk znika. Coś targnęło się w naszem sercu, jak ptak za skrzydło szarpnięty. To jedno nazwisko budzi nas i jaśniej, promienniej na duszy się nam robi. I zdaje się nam, że ta trumna owinięta jest białą sukmaną, że na niej spoczywa czerwona krakuska, a dokoła, jak promienie miesiąca, migają racławickie kosy.

To on! to ten nasz, którego dzieckiem będąc, uczymy się wymawiać nazwisko, jak słowa modlitwy, to on, ten naczelnik, do którego od młodości zwraca

się myśl nasza i który, zda się, jest zawsze pomiędzy nami żywy i sercom bliski. Stojąc przed tą trumną, wierzyć się poprostu nie chce, że tam pod tem wiekiem jest martwa garść popiołu i że ten popiół to on, to jest nasz Kościuszko. Wszak on nigdy nie umarł w umysłach naszych i widząc tę trumnę, doznaje się zdziwienia. Więc on nie żyje? on umarł? O nie! nie! to być nie może.

A jednak jest tak. W tych grobach królewskich ta trumna ciemna i prosta, to trumna Polaka, który dla Polski jedynie żył i za Polskę cierpiał. Te metalowe ściany kryją w sobie resztkę cielesnej powłoki ducha, który podnosił naród cały z odrętwienia i do bohaterskiego boju prowadził. Na widok tej trumny budzi się w nas jedno wielkie pragnienie. Porwać ją, wynieść z tej królewskiej pieczary, gdzie śpią w złotogłów spowite szkielety mocarzy. Wynieść ją na świat, na słońce i pomieścić wysoko na tym kopcu Kościuszki, który sypał naród cały przez lat trzy, w bezbrzeżnem uniesieniu i chęci, aby zaznaczyć tym sposobem, że kocha go cała Polska po śmierci tak, jak kochała za życia. Nie marmurem, nie wyzłoconemi litery, nie bronzem stawiano ten pomnik. Ziemią! ziemią chłopską, ziemią, w którą wsiąkł pot, wsiąkła krew, którą orzą chłopskie pługi i która chlebem żywi jednako wszystkie stany. Tę ziemię porwano w dłonie i oto wyrosła w niebo mogiła, nad którą codziennie goreje wspaniała słoneczna pochodnia, a nocami srebrnym blaskiem płonie lampa księżycowa. Na ten katafalk, zbudowany z ziemi, na ten szczyt, okryty co zima gronostajową bielą śniegu, pragnęlibyśmy wynieść trumnę Kościuszki.

Konając — Kościuszko kazał włożyć do swej trumny swój pałasz, który, jak promień, jak pochodnia rozświetlał narodowi pole walki. Przez ołowianą trumnę cudem wyczułby naród tę pochodnię, na której spoczywała ręka Naczelnika i która błyszczała pod Racławicami, wskazując kosynierom moskiewskie armaty. Za tym jednym błyskiem pomknęła cała łuna, cały promień kos! I czemże są wyprawy krzyżowe, czem husarskie szarże ze ścian Kahlenbergu wobec tej jedynej może w dziejach świata przepotężnej i serdecznej walki? Spracowana chłopska ręka, w której błyszczy kosa, cały tuman, cała lawina białych sukman, bose stopy poorane, cierniami i kamieniami, po których pędzą.

Naprzeciw nich — strategia, mordercze narzędzia, błysk i huk armat, karne wyćwiczone sołdaty. Lecz z nimi ich naczelnik, pałasz jego błyszczy i wskazuje im drogę — depcą trwogę śmierci i ci niewolnicy, te „dusze“, które panowie trzymali w swem posiadaniu, ci poddani przemieniają się w wolne królewskie ptaki i przed szumem ich skrzydeł cofa się w cień cała umiejętność mordercza, na jaką wysila się ludzki cywilizowany umysł. Biegną, wołając: „Jezus Marya“, jak ongi husarze z ryngrafami na piersiach, ale oni, ci chłopi wołają serdeczniej, goręcej, szczerzej.

I oto są, tłocząc się, rwąc się na pewną śmierć, z koszulami rozchylonemi na piersiach, jakby im spieszno było gołą pierś pod mordercze narzędzie nadstawić. Husarze mieli skrzydła z drutu i piór sztucznych, dusze kosynierów mają skrzydła, które rwą ich i niosą naprzód w upojeniu i poświęceniu bez granic. Naczelnik tylko krzyknął: „Zabrać mi, chłopcy, te armaty! Bóg i Ojczyzna! Naprzód wiara!“ — a skrzydła u sukman zda się wyrosły, tak biegną, nawoływując się wzajemnie: „Szymku, Maćku, Bartku — a dalej!“

Nie biegną tak przez nałóg, przez posłuszeństwo chłopa, nawykłego do wykonywania pańskich rozkazów. W nich zbudził się człowiek wolny, broniący swej ziemi, którą mu wydzierać przyszli.

Wiosenna woń świeżej grudy owiewa ich pomimo gryzącej woni prochu. Chłopskie nozdrza umieją ten wiosenny zapach ziemi wyczuć i upoić się nim do szału. Wydrzeć im tę ziemię, w której po śmierci chłop spocząć pragnie? Nie — Szymku! Bartku... a dalej!...

Dopadli — i oto purpurowa krakuska Bartosza zakrwawiła się nagle w promieniach słonecznych! Ach! dano mu później dyplom szlachecki, lecz to on sam nadał sobie najwyższe szlachectwo ducha tym wspaniałym ruchem pokrycia zapału morderczej armaty swoją czerwoną czapką. Czemże była późniejsza nobilitacya wobec tej chwili! Oto chłop podnosi swą zgiętą wiekowem jarzmem głowę i czapką niewolnika unieruchomia mordercze narzędzie, ziejące śmierć w szeregi szlachty.

Dokoła Krakowa bielą się ciągle sukmany i czerwienią krakuski. To potomkowie racławickich bohaterów. Dokoła Krakowa złoci się żyto, szumią lasy i ptaki wzbijają się w powietrze. To żyto, ta ziemia, te sukmany, te lasy — to wszystko jest zawsze Polską i będzie nią na wieki. Dlatego nie ciasna krypta podziemna, lecz cały kraj winien być świątynią, w której spoczywać może trumna Kościuszki. Byłby dalej od monarchów i złotogłowi królewskich, lecz bliżej Bartków i Wojtków, którzy tak mu drodzy byli. Choć — czy trumna jego tu, czy tam — on duchem jest zawsze z nami. I w te ciężkie chwile naszej całowiekowej Golgoty — nigdy nie czuliśmy go umarłym.

On był z nami każdej chwili, gdy naród powstawał szalonym wysiłkiem, bohatersko walczył i padał w tumanie krwi i pożogi. On szedł z każdym zesłańcem w sybirskie katorgi i w podziemnych kopalniach wspomnieniem kraju konających krzepił. On, teraz ciągle i zawsze jest tą gwiazdą, do której zwraca się dziecko polskie, dręczone w rosyjskich lub pruskich szkołach. O — Kościuszce — mówią do siebie po cichu dzieci, którym modlić się nawet po polsku nie wolno. O — Kościuszce, mówią zawsze i ciągle chłopi — bo on pozostał słońcem polskich chat, światłem chłopskich dusz!

Legenda ludowa głosi, że Kościuszko podczas walk zamieniał się w ptaka i krążąc nad obozem nieprzyjacielskim, przenikał zamiary wroga i udaremniał jego zabiegi. Piękna ta legenda i prawdziwa. Jak ptak, tak duch Kościuszki krąży ciągle nad naszym krajem i samem wspomnieniem o sobie udaremnia już zabiegi wroga. Bo — dokąd w sercach i duszach Polaków żyć będzie imię Kościuszki, a on sam żywy i drogi od kolebki towarzyszyć naszej pracy będzie — do tej chwili można być pewnym i z całej duszy wołać:

„Jeszcze Polska nie zginęła!“

Gabryela Zapolska.



Mecenas Chrzanowski — a ks. Krzesiński.

Od jednego z poważnych obywateli i polityków naszych otrzymujemy list następujący w sprawie zbliżających się wyborów w okręgu międzyrzecko-babimojskim:

Poniekąd wskutek nieporadności miejscowego komitetu wyborczego polskiego, poniekąd zaś wskutek tego, że w okręgu babimojsko-międzyrzeckim właśnie najjaskrawiej występuje destruktywna pod względem społecznym germanizacya, ogołacając społeczeństwo polskie ze sfer inteligencyi i ziemiaństwa, a dając natomiast ludowi polskiemu zbłąkane pod względem narodowym jednostki w rodzaju księdza-germanizatora Krzesińskiego — dosyć, że niestety nie dość wcześnie rozwinięto agitacyę za panem mecenasem Chrzanowskim.

Całe szczęście jednak, że los dał mu na przeciwnika owego powyżej wspomnianego księdza Krzesińskiego; ksiądz ten — to w naszych stosunkach dotychczas nieznany, niebywały i niesłychany typ, zarówno

pod względem narodowym, jak i — religijnym.

Ksiądz Krzesiński z Kaszczora jest to ten sam germanizator, który najchętniej widzi, gdy go się tytułuje „Leutnant a. D,“, ten sam, który niezawahał się napisać broszury na cześć żydów, za co otrzymał naganę od władzy duchownej, — jest to ten sam ksiądz, który na protestanckich obchodach związku wojaków i innych prusko-protestanckich stowarzyszeń wypowiada mowy, przyznające władzy państwowej, ministrom prawo ingerencyi do rzeczy duchownych; jest to ten sam, który za uzbierane przez siebie głównie pieniądze stawia pamiątkowe krzyże dla poległych w r. 1871 wojskowych, głównie protestantów, a przy tej okazyi twierdzi, że wszystko jedno, czy katolik, czy protestant, byle wiernie służył swemu (?) cesarzowi. — —

To jest ksiądz Krzesiński. Gdyby nie warunki polityczne, całym ogromem państwa pruskiego ciążące nad rządami naszej władzy duchownej, moglibyśmy się dziwić, że taki ksiądz, o *takim* indyferentyzmie okazywanym niejednokrotnie w sprawach religijnych, nie znajduje się gdzieś w odległym jakim zakątku na pokucie, dokąd by nie dolatywały odgłosy wielkiej polityki świata, a samotność dostarczała wątku do rozmyślań na temat wiekuistości Boga, a zmienności ziemskich mocarzów i władców.

Lecz pomińmy już nawet ten punkt, tak bolesny dla serc naszych, jako dla katolików, którzyśmy zawsze wymagali od kapłanów katolickich stawania po stronie biednych, uciemiężonych, — którzyśmy w historyi naszej nieraz widzieli, z jaką nieustraszonością stawiali kapłani czoło innowierczej władzy politycznej. Zamiast tego, zamiast skromności — napotykamy w proboszczu Krzesińskim wyjątkowy typ księdza, napotykamy u niego — wstrętne karyerowiczostwo, bijące pokłony przed orderodawczemi sferami, fraternizujące — z protestantyzmem....

Bolesnem jest poruszać te rzeczy dla katolika i Polaka; ale przecież święty Paweł powiedział: *dam prawdę Panu, niechaj boli jako chce!*

Więc z bólem, z bólem niezmiernym i ze łzą w oku spoglądamy na księdza Krzesińskiego z Kaszczora, gdyż niedość mu widocznie tego, co już zdziałał: chce on jeszcze w ludzie polskim złamać wiarę w przyszłość, chce zdobytym na nim mandatem poselskim potrząsnąć zwycięsko i zawołać: niema dla was innej drogi przyszłości — prócz drogi tej, którą ja szedłem, — drogi wyrzeczenia się polskości na rzecz germanizacyi...

I zaiste wyrzec by się trzeba było nadziei, gdyby ten człowiek, ten Polak, ten kapłan miał istotnie zostać przewodnikiem politycznym, posłem swego okręgu. —

Pytajcie go, czem jest: Polakiem, czy Niemcem? Pytajcie go, wyborcy, a przekonacie się jak rumieniec wystąpi na twarz jego, i nie będzie śmiał wyrzec, że jest Niemcem, bo ojciec i matka, co w grobie już leżą, kłam by mu zadać musieli.

Więc cóż powie? Powie: jestem — poddanym pruskim!.. Otóż go będziecie mieli jak na dłoni, wyborcy okręgu międzyrzecko-babimojskiego. Pytajcie go tylko na wiecach, jakiej jest narodowości, a przekonacie się jak będzie uciekał. Bo wyrzeczenie się narodowości, to klątwa, której nic z głowy tego, co kraj porzuca, nie zdejmie. A przecież dla każdego, czy Polaka, czy Niemca — największym zaszczytem, największą dumą jest, gdy na stawiane pytanie odpowiada prosto a szczerze: Jestem Polakiem! Jestem Niemcem!

I ból przejmuje serca nasze, gdy spoglądamy na tego „Polaka“, bo wszak to on święcił wraz z hakatystami pamiątkowy krzyż dla dragonów pruskich, których kilku kołami zabito w 1848 roku, gdy napadli bezbronną wioskę i mordować poczęli polskich chłopów. On święcił — niepomny, że tam może jego ojciec w tej utarczce pierwszą krew swą za polską ukochaną Ojczyznę przelewał, — niepomny, że tam może bliscy mu głowę położyli, a ich zbielałe od deszczów i wiatrów kości powoli w proch się rozsypywały i proch ten użyźniał łany zbóż, owe polskie łany....

Ale jeśli taki ból przeszywa nasze serca na sam widok tego kandydata, który się podaje za kandydata centrowców, lecz centrum go nie uznaje, tak jak nie uznaje go żadna narodowość za swego — to przecież pociechę znajdujemy w młodym, dzielnym, pełnym poświęcenia, zapału patryotycznego i ochoty do pracy szczerej na pożytek polskości kandydacie Polaków, *p. Bernardzie Chrzanowskim.* Niechaj piszącemu te słowa wybaczą Czytelnicy, redakcya a i sam Szanowny kandydat nasz, że nie będę przez fałszywą skromność nakładał sobie hamulca, oddając pochwały zasłużonej działalności społecznej i narodowej *p. Chrzanowskiego.* Powtarzać się może będę z innym współpracownikiem tego pisma, kryjącym się pod pseudonimem *Vestera*, z którym rozmawiając niedawno dowiedziałem się, że zamierza napisać w tej sprawie artykuł dla „Pracy.“ Ale p. Chrzanowski nie może wiedzieć, kto jest ów Vester, tak jak nie wie, kto jest autorem niniejszego artykułu. Więc nie widzę powodu, dlaczego bym nie miał rzec, że *pana Bernarda Chrzanowskiego uważać należy za najgodniejszego z godnych zaufania całego społeczeństwa.*

Choć młody latami, bo zaledwie w pełni lat męzkiego wieku stojący, kandydat nasz zdołał położyć nieocenione zasługi, wszędzie służąc zdrową radą, pozbawioną egoistycznych motywów działalnością swym talentem organizacyjnym.

I jeśli mowa o tem, aby odświeżyć Koło Polskie, aby zasilić je nowemi siłami — to na pierwszem miejscu postawić należy *p. Chrzanowskiego.* Do niego ma społeczeństwo nasze to zaufanie, że gdyby kiedykolwiek nowy jaki kanclerz, jak ongi Caprivi, syrenimi głosami i tysiącem obietnic wabić miał Polaków na stronę pruską, *nasz mandataryusz, Bernard Chrzanowski* jak nowoczesny Rejtan u drzwi by się położył i po sobie przejść pozwolił, zanimby się zgodził na za-

przepaszczenie sprawy polskiej w ugodzie z Prusami.

To nasz duch! To nasz przedstawiciel z serca i czynu! On nie zaświeci swą obecnością na odsłonięciu żadnego pomnika żadnego z Wilhelmów — — On dla orderu nie zrzecze się tego, co uważa za największy zaszczyt człowieka na ziemi — pełnej ufności swego społeczeństwa.

I brak nam słów pogardy dla tego pisma, które wobec sprawy kandydatury p. Chrzanowskiego zajęło stanowisko takie, jakoby on był tylko kandydatem ruchu ludowego. On jest kandydatem nas wszystkich — i wszystkie warstwy jednakową w nim pokładają ufność. Pocóż robić z niego człowieka, który stoi na gruncie formułek jednego stronnictwa? Dlaczego w ten sposób zmniejszać szanse jego powodzenia i budzić przeciw niemu nieufność nieuzasadnioną, z jaką spotykali się zawsze ci, co wychodzą z pod skrzydeł pisma, znanego z tego, że najlepszą sprawę zepsuje, byle dogodzić własnej ambicyi, byle się wysunąć na prowodyera, choćby to było kosztem najświętszej sprawy.

To też protestujemy przeciw oświadczeniu „*Orędownika*", że p. Chrzanowski jest kandydatem ruchu ludowego. On jest kandydatem proklamowanym legalnie przez komitet prowincyonalny. Nikt nie powątpiewał, że on się sam ze swemi przekonaniami nie krył, ale też nikt nie wątpi, że nigdy p. mecenas Chrzanowski nie stanie w ciasnem kółku formułek nieudolnie skleconych przez „Orędownika" i ochrzconych szumnym tytułem programu ruchu ludowego.

On będzie szukał chluby w zasłużeniu się całemu społeczeństwu, a dziś przecie, gdy ucichły stronnicze walki, a siły wszystkie skoncentrowały się na obronie sprawy narodowej najwięcej ma ku temu sposobności.

A więc do urny, wyborcy polscy! Idźcie zwartą falangą naprzód i wywalczcie mandat dla waszego kandydata, p. Bernarda Chrzanowskiego! Precz z Krzesińskim, precz z obłudnikami, z karyerowiczami, z zaprzańcami narodowymi! Naprzód w imię świętego obowiązku obywatelskiego! *Korwin.*



Wybory
w okręgu międzyrzecko-babimojskim.

Wyborcy okręgu międzyrzecko-babimojskiego staną niebawem przed urną wyborczą. Powinni więc dać dowód, że żywioł polski nie upada na duchu i wierząc w swe siły, doprowadzić musi do zwycięstwa dobrej sprawy.

Mandat poselski do sejmu i parlamentu z tego okręgu znajdował się dotychczas w ręku marszałka poznańskiego sejmu prowincyonalnego, v. Dziembowsky'ego, — Niemca hakatysty — konserwatywnej barwy. Z powodu jego śmierci odbędą się wybory uzupełniające, których termin naznaczono na 14 listopada.

Wybory w tym okręgu zwłaszcza w obecnej sytuacyi politycznej mają niezmiernie ważne znaczenie ogólne. Na to się składają względy rozmaite.

Przedewszystkiem charakter samego okręgu. Powiaty babimojski i międzyrzecki należą do kresowych, w których najsilniej usadowiła się kultura niemiecka i liczebnie bardzo jest silną. Zarówno miasteczka Babimost i Międzyrzec jako i całe te powiaty należą do najbardziej zniemczonych, dowodem czego zresztą był wybór Niemca na posła.

Stosunek liczebny Polaków do Niemców nie da się ściśle oznaczyć. Katolików jest o dziesięć procent więcej niż protestantów. Ponieważ jednak wszyscy protestanci są bezwarunkowo Niemcami, a wśród katolików są nietylko Polacy, ale i Niemcy, więc stosunek obu narodowości jest mniej więcej stosunkiem liczebnej równowagi. Decyzyę mają w swem ręku Niemcy-katolicy i oni to mogą wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przeważyć szalę zwycięstwa.

Ze względu na ten liczebny stosunek narodowości, oraz na decydujące stanowisko katolików niemieckich, polski komitet wyborczy zawarł z katolickimi Niemcami ugodę, mocą której posłować miał raz Polak, raz kandydat centrowców.

Tymczasem w obec agitacyi antypolskiej i wyjątkowo silnej presyi wyborczej (wskutek której jedne wybory były unieważnione) zarówno w roku 1895, jak i w r. 1898, przeszedł konserwatysta Niemiec: pomoc centrowców okazała się iluzoryczną zarówno dla Polaków, jak poparcie polskie dla centrowców. Komitety wyborcze zawierały ze sobą kartel, a tymczasem wyborcy katolicko-niemieccy dali się po części przeciągnąć na stronę kandydata protestanta, za co w następnych wyborach odwzajemnili się Polacy słabszem poparciem centrowca. —

W roku 1895 kandydat polski, ks. Szymański, otrzymał w ściślejszych wyborach ogółem 8817 głosów, a Niemiec 9481 głosów.

W trzy lata później, w r. 1898, Polacy odstąpili od własnej kandydatury i postanowili głosować na centrowca. Niemiec protestant znowu zwyciężył i to mając niespełna 9 tysięcy głosów, na centrowca zaś padło tylko 7444 głosów, t. j. ubyło mu 1373 głosów w porównaniu z poprzednimi wyborami. Ta statystyka wymownie świadczy, jak lud polski zapatruje się na wszelkie głosowanie na obcego. — —

Ponieważ teraz kolej przypada na Polaka, którego obowiązani są popierać centrowcy, w wyborach tych zatem wyjaśni się stosunek centrowców do Polaków, który dotychczas opierał się na tem, że w zamian za swe frazesy i oświadczenia przyjaźni, centrowcy żądali czynnego poparcia.

To jest jedna ogólniejsza strona wyborów, — nader ciekawa, jeśli się zważy, że właśnie w obecnej chwili wśród katolików niemieckich w prowincyi poznańskiej nurtuje podsycany przez rząd prąd antypolski, który dąży do stworzenia z kościoła instytucyi germanizacyjnej.

Zresztą stosunki nasze z niemieckimi katolikami wyświetla dostatecznie ta okoliczność, iż pomimo zawarcia umowy, według której powinni z kolei teraz oni głosować za naszym kandydatem, stawiają na kandydata dostatecznie znanego ze swych prusofilskich i rządowych sympatyi księdza — v. Krzesińsky'ego z Kaszczora.

Obok tego wybory w okręgu babimojsko-międzyrzeckim mają tu wielkie i poważne znaczenie, iż — jak sami wrogowie nasi głoszą — okazać się powinno teraz, czy rozporządzenia Studta wywołały pra-

wdziwe oburzenie wśród ludu polskiego.

Niechaj wybory te więc będą odpowiedzią dla rządu na rozporządzenia Studtowskie!

Niech każdy wyborca pamięta, że rząd pruski będzie miał prawo lekceważyć nasze protesty i głosy oburzenia, jeśli się nie okaże, że możemy i chcemy poprzeć je czynem — oddaniem głosu na swego, polskiego kandydata, *którym jest p. mecenas Bernard Chrzanowski!*

Już niedaleki jest termin wyborów, bo naznaczono je na dzień 14 listopada. Niestety tamtejszy polski komitet wyborczy, którego nieudolność weszła prawie w przysłowie, nie poczynił w porę odpowiednich kroków, aby agitacyę rozwinąć. Wolimy zaniechać tu słów ostrej krytyki, jakie nam się wobec niedbalstwa komitetu gwałtem cisną pod pióro, — ze względu na to, iż ważniejszą jest sprawą, aby wybory poszły gładko. Wprawdzie wiec wolsztyński już ustalił kwestyę kandydata, którym definitywnie jest *mecenas Bernard Chrzanowski z Poznania*, ale właściwa agitacya wyborcza posuwa się niezmiernie powoli. W okolicy Zbąszynia, gdzie dziedziców Polaków prawie niema, lud zapatruje się biernie i bezczynny jest: *wyrwać go należy z politycznego odrętwienia.* Wprawdzie jest tam kilku patryotycznie usposobionych kapłanów, którzy dokładają starań, aby w ludzie polskość zachować, ale dziś niewolno już nam całej pracy wkładać na upadające pod brzemieniem politycznego ucisku barki duchowieństwa: *każdy myślący obywatel z każdego stanu powinien uważać się za powołanego i uprawnionego do budzenia ducha narodowego wśród sobie równych.*

Potrzeba będzie wytężenia całej energii i umiejętnej organizacyi, jeśli Polacy mają zwyciężyć. Niemcy dotychczas posługiwali się w okręgu babimojsko-międzyrzeckim nietylko osobistą presyą, wywieraną przez chlebodawców, ale w dominiach niemieckich zaopatrywali polski lud roboczy w karteczki na kandydatów Niemców i pod eskortą ekonomów i rządzców prowadzali wyborców do urny wyborczej — jak bydło.

W żadnym innym okręgu wyborczym Księstwa nie skasowano wyborów tylokrotnie z powodu nadużyć, co w okręgu babimojsko-międzyrzeckim. Z nieświadomości ludu polskiego i jego nieruchomości proceder sobie robili niemieccy poszukiwacze mandatów poselskich. Dlatego też teraz powinna nastąpić radykalna zmiana na lepsze, bo w jakże odmiennych, niż dawniej warunkach, przystąpić mają dziś do urny wyborczej tamtejsi Polacy!

Wyborcy okręgu babimojsko-międzyrzeckiego! od dawna już nie powoływano was w imię obowiązku obywatelskiego i narodowego do głosowania **na swego, na Polaka!** Ale już minęły te czasy, gdy wam kazano oddawać głosy na Niemca, na obcego, — minęły i nie wrócą, bądźcie spokojni! Społeczeństwo polskie postanowiło bronić praw swoich samo i nie wdawać się z nikim w zawodne sojusze. Spogląda więc ono ku Wam, wyborcy, w nadziei, że Wasze poświęcenie dla sprawy, Wasze serce wreszcie zaprowadzi Was tam, gdzie 14-go listopada każdy z obowiązku znaleźć się winien, — przy urnie wyborczej, z kartką wyborczą daną na Waszego kandydata, *Bernarda Chrzanowskiego.*

Rodacy! kandydat, którego Wam władza wyborcza zaleciła, mecenas Bernard Chrzanowski z Poznania, jest mężem, których oodaj tysiącami mogła pochlubić się nasza ziemia. Spytajcie, ilu redaktorów pism polskich wyrwał on prokuratoryi z paszczy, ilu towarzystwom polskim on stanął w obronie, spytajcie ilu biedakom — byle swoim — on chętnie służył radą i pomocą, gdy mandaty policyjne za bagatelne przewinienia spadały na nich dlatego tylko, że byli Polakami; jemu to, mecenasowi *Chrzanowskiemu*, zawdzięcza nasze Sokolstwo tak świetny rozkwit, jemu to, druhowi *Chrzanowskiemu*, zawdzięczamy wspaniały zlot Sokolski, któryśmy z rosnącem serca biciem witali w murach naszego grodu, on to, nasz druh i brat serdeczny *Chrzanowski*, w przepięknej mowie na zlocie Sokoła powitał liczną drużynę sokolską słowami: „Gdziekolwiek dwóch Polaków się spotka, tam jedno spojrzenie, jeden uścisk dłoni wystarczyć powinien na wspólne porozumienie się“, — on to, mecenas *Chrzanowski*, jako prawnik, nie sięgnął po notaryat ponętny, — skwitował raczej z tego zyskownego zaszczytu, by choć z własnym materyalnym uszczerbkiem — tem śmielej wystąpić w obronie praw naszych, on się nie zawahał oświadczyć i zadokumentować wobec władz pruskich, — że jest Polakiem ciałem i duszą.

Takim więc jest p. mecenas *Bernard Chrzanowski*, takich nam posłów potrzeba.

Pan Bernard Chrzanowski jest człowiekiem, którego nietylko Poznań, ale cała Wielkopolska zna i szanuje za niestrudzoną działalność jego około rozwoju naszych stowarzyszeń, około szerzenia czytelnictwa ludowego.

Wreszcie odczyty ludowe, których doniosłość chyba każdy z nas ocenić potrafi — są również dziełem p. mecenasa *Chrzanowskiego.*

A przytem to człowiek — w pełni sił i wieku, człowiek, któremu i młodsza generacya wyborców oddaje całkowicie swe zaufanie, widzi w nim przedstawiciela odradzającej się Polski, która śmiało dąży „przez ciernie i głogi,“ ku swej lepszej przyszłości z niezachwianą wiarą w zwycięztwo, z wolą niezłomną, zahartowaną...

Na tego kandydata głosować macie, wyborcy okręgu babimojsko - międzyrzeckiego. Zarówno obowiązek Polaka - wyborcy jak i uznanie za pełną zasług obywatelskich niestrudzoną działalność społeczną Waszego kandydata, powinien prowadzić Was do urny wyborczej.

Nie da się przewidzieć, czy zwycięztwo będzie po naszej stronie. Nietylko siły nasze mogą nam niedopisać, ale nadto źle się odbić może zaniedbanie wczesnego rozpoczęcia agitacyi przedwyborczej. *Ale jednak faktem jest, że gdyby wszyscy wyborcy-Polacy jak jeden mąż stanęli do urny wyborczej, nasz kandydat, pan mecenas Bernard Chrzanowski, niewątpliwie by zwyciężył Niemca.*

Niechajże żaden z wyborców naszych nie ściąga na siebie tej strasznej odpowiedzialności, że niestawieniem się na wybory udaremnił zabiegi rodaków i Niemcowi zwycięztwo przychylił.

Na naszej stronie powinno być zwycięztwo! Niech pamiętają o tem liczni Czytelnicy i zwolennicy „Pracy“ w okręgu babimojsko-międzyrzeckim; niech budzą ospałych. *Musimy zwyciężyć!*

Vester.





Z TYGODNIA.

Anglia święci tryumf siły nad prawem. Wojnę Anglików z Boerami można uważać za zakończoną.

Prezydent Krüger wyjechał do Europy. Opuszczając przed miesiącem dla braku sił i niemożliwości towarzyszenia resztkom armii i niedostępne i bezludne pustkowia północy, terytoryum swojego państwa i swój lud, któremu przez lat pięćdziesiąt służył wiernie radą i czynem, wiedział, że nie powróci już nigdy. Wprawdzie wojna nie skończyła się jeszcze, opór Boerów nie jest jeszcze zupełnie złamany i Anglicy nie są panami kraju. Na całej ogromnej przestrzeni republik uwijają się jeszcze ruchliwe oddziały obrońców wolności, niepokojąc i strasząc zaborców angielskich; ale losy republik są już rozstrzygnięte. Kraj wydarty dzikiej naturze przez pracowitych i śmiałych Holendrów, stanie się własnością Anglii, naród Boerów podścieliskiem dla cywilizacyi angielskiej.

Mówią, że Krüger, kiedy przekonał się, że dalszy opór jest niemożliwy i zniknęła ostatnia nadzieja zwycięztwa, zawołał z rozpaczą: „Gdzie jest Bóg?!" Było to do przewidzenia, że bohaterska walka maleńkiego narodu z potężnym Albionem skończy się zgrzytem rozpaczy; była ona też czynem rozpaczy. W prasie europejskiej, a zwłaszcza liberalnej niemieckiej, która stawia swą chorągiewkę zawsze tak, jak wiatr wieje, można obecnie spotkać się często z zarzutem, że Krüger niepotrzebnie porwał się do wojny i naraził swój naród na utratę niepodległości. Trzeba było — oświadczają spóźnieni doradcy — nie sprzeciwiać się żądaniom Chamberlain'a, zgodzić się na ustępstwa, a zresztą czekać na dalszy rozwój wypadków.

Spóźniona rada! Szkoda, że wówczas, gdy był czas jeszcze zażegnania walki z Anglią, nie znalazł się nikt z tą radą. Ale nawet co więcej przecież przed dwoma laty, gdy stosunki Anglii z Transwaalem były naprężone, przecież to nie kto inny, jak cesarz niemiecki wysłał telegram do Krügera, winszując mu zwycięstwa, a tem samem pośrednio niejako zachęcając do walki.

Lecz, że dziś Niemcy nie przyszli z pomocą Boerom, wyjaśnia się przez przymierze, które w celu zabezpieczenia sobie zdobyczy w Chinach zawarli z Anglią.

Obecnie w kwestyi chińskiej nastąpiła ważna zmiana.

Od dwu miesięcy europejskie mocarstwa ślą notę za notą do Pekinu, którą mandaryni chińscy chowają z najzimniejszą krwią do kieszeni. Rozpoczął rząd niemiecki. Hr. Bülow wysłał w sierpniu pierwszą notę, w której domagał się w myśl etyki ząb za ząb, oko za oko, wystrzelania wszystkich przewódców powstania Bokserów, jako zemsty za śmierć ambasadora niemieckiego Kettelera. Zapanowało głuche milczenie. Rosya odpowiedziała projektem, który wprawił w zdumienie i zakłopotanie wszystkie mocarstwa, „operujące w Chinach" — wycofania wojsk rosyjskich z Pekinu. Rosya chciała dowieść, że nie pozwoli nikomu mięszać się do spraw chińskich, które Rosyę najbliżej obchodzą i że gotowa skierować swój oręż przeciw każdemu, ktoby jej przeszkodził w sferze interesów na dalekim wschodzie. Za nią poszła Francya.

Opozycya Rosyi, do której się przyłączyły Stany Zjednoczone, spowodowała rząd niemiecki do podjęcia dyplomatycznej rejterady. Hr. Bülow ogłosił drugą notę cyrkularną, w której porzuca zamiar mordowania przewódców powstania Bokserów i ogranicza się do pozostawienia tej sprawy uznaniu rządu chińskiego.

Z początkiem października ogłosiła urzędowa berlińska „*Norddeutsche Allg. Zeitung*" dwie depesze, wymienione między cesarzem chińskim a cesarzem niemieckim.

Tajemniczy cesarz Kwang, który z jakiejś czeluści nagle wylazł na światło dzienne, zaproponował cesarzowi Wilhelmowi, jako zadośćuczynienie za śmierć Kettelera, odprawienie ofiar, celem przebłagania cieniów zabitego ambasadora.

Tymczasem Chińczycy nie spieszyli się z odjęciem głowy księciu Tuanowi i innym książętom krwi i mandarynom, których krwi pożądał cesarz Wilhelm.

Tak stały rzeczy, kiedy nagle biuro Reutera w depeszy z Londynu ogłosiło traktat niemiecko-angielski, zawarty w sprawach chińskich i podpisany w Londynie 16-go października b. r. przez lorda Salisbury'ego i ambasadora niemieckiego hr. Hatzfelda. Było to dla świata niespodzianką, urządzoną przez świeżo mianowanego kanclerza Rzeszy niemieckiej hr. Buelowa. Traktat niemiecko-angielski ma ostrze zwrócone wyłącznie przeciw Rosyi i jej polityce chińskiej. Traktat wychodzi z zasady równouprawnienia wszystkich europejskich narodów w Chinach — w Prusach hakatyści tę zasadę w zastósowaniu do Polaków zwalczają z brutalizmem wściekłości — uznaje politykę angielską „otwartych bram w Chinach", która wychodzi na korzyść handlowi angielskiemu, mającemu 237 milionów taelów rocznego obrotu w Chinach i handlowi niemieckiemu, mającemu 85 milionów taelów rocznego obrotu handlowego.

Zapewnia on również korzyści Japonii i Ameryce a po części także Francyi. Z drugiej strony stawia traktat niemiecko-angielski zasadę gwarancyi niepodzielności terytoryum chińskiego. A w tem zwraca się już wprost przeciw interesom Rosyi.

Z tego powodu prasa niemiecka, zwłaszcza konserwatywna, ogromnie krytykuje rząd i każe obawiać się wojny z Rosyą.

Istotnie zawarcie przymierza z Anglią jest do pewnego stopnia związaniem się do polityki przeciw Rosyi, co nieobliczalne następstwa sprowadzić może na Niemcy. Niemcy więc nietylko w sprawie chińskiej oddali się w naukę Anglikowi, ale nadto zaostrzyli stosunki z Rosyą.

Oto jest cały dotychczasowy plon karkołomnej polityki zagranicznej Niemiec. *K. O.*



PRZEGLĄD PRASY.

Jeszcze się nawet nie obudził duch polski na dobre w naszych koloniach na emigracyi, a już spadają na polskie towarzystwa w głębi Niemiec rozmaite zakazy i utrapienia, będące świadectwem, że rząd pruski postanowił i tam — w głębi Niemiec spokojnie żyjących Polaków germanizować forsownie. Ale przyspiesza on tylko w ten sposób ich odrodzenie narodowe. Spadają rozwiązania towarzystw i wieców, rewizye bibliotek i zakazy zgromadzeń na naszych emigrantów, lecz to ich tylko do tem żarliwszej pracy pobudza i tem bardziej do skupiania się zachęca. Świeżo donoszą do bochumskiego „**Wiarusa**" o rozwiązaniu wieca polskiego w Bottropie w Westfalii:

„Wiec odbył się ubiegłej niedzieli pod przewodnictwem prezesa „Związku Polaków" pana Funtowicza, z Essen. — Podczas gdy wiec rozpoczął się na dobre i obrady były w toku, przewodniczącemu zwrócono uwagę, że na sali siedzi jakiś mężczyzna w kapeluszu. Ponieważ siedział przy komisarzu dozorującym wiec i z nim rozmawiał, a prócz urzędnika i owego pana w kapeluszu była tam jeszcze trzecia nieznana osoba, postanowiono więc rzecz tę zbadać. Dowiedziano się, że ów pan w kapeluszu na równi z komisarzem był w „charakterze urzędowym". Wezwany, aby ze względów prostej przyzwoitości zdjął kapelusz, nie chciał tego uczynić, tłomacząc się, że niechce sobie głowy zaziębić. Na zapytanie, czy i trzecia osoba jest także w charakterze urzędowym, odpowiedziano, że tak. Na uwagę, że tylko dwom przedstawicielom policyi wolno być na wiecu, odpowiedziano, że to tłómacz. W prawie nie ma jednak wzmianki o dodatkowych tłómaczach. Wezwano więc owego pana w kapeluszu, aby opuścił salę, a gdy się temu opierał i ponownie wezwany został do wyjścia, komisarz dozorujący rozwiązał zgromadzenie. Oczywiście przeciwko takiemu postępowaniu policyi wniesiono zażalenie.

Wobec szerzących się pogłosek o projekcie zamknięcia wogóle wszystkich towarzystw polskich, trudno dać wiarę, aby jakiekolwiek skargi na policyę odniosły skutek. Byłoby to tak, jak z owem jagnięciem, które do wilka na skargę chodziło. Niema dla nas, Polaków, czy to

w kraju jesteśmy, czy na obczyźnie — *niema sprawiedliwości ani przed sejmem, ani w parlamencie ani gdzie indziej.* Pamiętni na to będąc, ufajmy tylko we własne siły i w niesprawiedliwość obcych; mrówczą pracą między znajomymi i przyjaciółmi starajmy się wynagrodzić sprawie narodowej ten uszczerbek, jaki ponosi ona przez stawianie tamy normalnemu rozwojowi towarzystw, a na obczyźnie zwłaszcza popierajmy gazety. Na obczyźnie nie powinno być ani jednego towarzystwa, któreby nie abonowało dwóch do trzech przynajmniej gazet polskich. Zarządy towarzystw polskich w dobrze zrozumianym interesie własnym powinny na każdem posiedzeniu zachęcać i namawiać członków do zapisywania gazet. Wy, biedni nasi rodacy na obczyźnie, nie spodziewacie się nawet, jakie to potworne plany kują się teraz na Was w Berlinie. Choć zakaz towarzystw polskich wydaje się sam w sobie nieprawdopodobny, jednak pamiętajcie, a my tu w kraju zamieszkali to Wam potwierdzamy, że *niema takiego postąpienia wbrew konstytucyi, do którego nie sądzilibyśmy zdolnym obecny ruch antypolski.* Wszystkiego się dopuszczą, na wszystko się odważą, jeśli będzie chodzić o to, aby Polaków zgermanizować.

A wtedy cóż Wam innego pozostanie, bracia rodacy na obczyźnie, jeśli nie ta gazeta polska, która z krajem Was łączy w jeden nierozerwalny węzeł.

Pielęgnujcie też i *pieśń polską.* Pieśń polska — to jak rosa, której niewidać, gdy opada na rolę-serce, ale po bujnym wzroście kwiecia poznać ją można. Dzieci polskie niech tę pieśń polską w domu słyszą i w pieśni niech ukochają ojczyznę. Pieśni polskiej nam nikt nie zabierze.

Przytaczamy poniżej piękny artykuł **„Wielkopolanina“** o pieśni polskiej.

„Pieśń polska prześladowana tuli się do murów kościelnych i tam rozbrzmiewa na chwałę Bożą. Ale ludek nasz co raz mniej umie tych pięknych nabożnych pieśni, bo skądżeż ich się ma nauczyć?

„Ze szkoły pieśń polska wykluczona, więc znajomość pieśni przechodzi niejako tradycyjnie z ojca, na syna z matki na córkę. Lecz jeżeli ojciec zna dziesięć pieśni, syn już może zna tylko połowę i tak z biegiem czasu szczupleje skarbnica ludowych pieśni i ludowej nabożności, wyrażanej śpiewem. Dochodzi do tego, że w niektórych parafiach znane są tylko dwie lub trzy pieśni, które nabożni zdolni chórem odśpiewać.

„Jeszcze gorzej jest z pieśnią świecką.

„Są wprawdzie bardzo tanie śpiewniki polskie i są one też w wielu rękach, ale kupuje je zazwyczaj inteligentniejszy rzemieślnik i robotnik — do rąk szerokiej masy się one nie dostają.

„Zresztą, co znaczy śpiewnik bez znajomości melodyi, bez znajomości śpiewu! Co wreszcie znaczy śpiewnik w ręku osób zaledwo potrafiących sylabizować?

„W tak niekorzystnych warunkach pieśni polskiej rozwijać się trudno i jest obawa, aby po latach kilkudziesięciu pieśń ta całkiem nie zanikła w szerszych masach, i co najwyżej żyła w kołach śpiewackich, utworzonych po miastach. Warto więc zwrócić uwagę na grożące niebezpieczeństwo tym wszystkim, którzy odeprzeć je mogą najłatwiej i najskuteczniej.

„A najbardziej powołanymi do spełniania tego zadania są panowie organiści. Wiemy, że wielu z nich zrozumiało doskonale ten święty obowiązek i z całym zapałem oddaje się pielęgnowaniu pieśni polskiej, mianowicie zaś pieśni kościelnej.

„Lecz wiemy też z drugiej strony, że nie wszyscy jeszcze przejęli się myślą, że im właśnie przypadło piękne zadanie pielęgnowania nie tylko pieśni kościelnej, lecz także świeckiej.

„Czy to tak trudno zebrać młodzież w niedzielę lub święto na godzinę lub dwie celem wćwiczenia jakiej pieśni, czy świeckiej, czy kościelnej? Duszpasterz nie będzie miał z pewnością nic przeciwko takiemu zajęciu — przeciwnie jak najgorliwiej popierać je będzie.

„A organista zbyt trudnej pracy mieć nie będzie, bo ludek nasz lubi śpiew i posiada w większej części dużo słuchu. Podziwialiśmy niejednokrotnie naszych wiejskich malców wyśpiewujących najtrudniejsze melodye czysto i z zadziwiającem zrozumieniem melodyi.

„Sądzimy więc, że w każdej wiosce znajdzie się kilkunastu uzdolnionych śpiewaków. Ćwiczenia śpiewu, z początku dorywcze, mogą stać się zawiązkiem stałych kółek śpiewackich po wsiach — o które głównie nam chodzi, ponieważ wiemy, że po miastach coraz liczniejsze tworzą się kółka śpiewackie bez naszych nawoływań. Niech panowie organiści rozważą nasze słowa!“

Pan minister Studt, chcąc okazać swą gorliwość w sprawach polskich, wydał nowy okólnik.

Pisze o tem **„Nowa Reforma“**:

„W sprawie t. zw. „stypendyatów poznańskich“ pruski minister oświaty Studt wydał ciekawy okólnik do kolegiów szkolnych. Jak wiadomo, synowie urzędników niemieckiej narodowości w Poznańskiem otrzymują wysokie stypendya na studya gimnazyalne i uniwersyteckie. Stypendyaci obowiązują się za to pisemnym dokumentem, że po ukończeniu studyów osiedlą się w Poznańskiem. Bardzo wielu z tych stypendyatów, przeznaczonych na rozsadników germanizacyi, woli jednakże osiedlać się w prowincyach niemieckich. Ponieważ zdarza się to coraz częściej, i tak zwłaszcza postępują filologowie, od których rząd spodziewał się najgorliwszego udziału w germanizacyi, przeto minister oświaty postanowił zmusić tych niechętnych germanizatorów do roboty, i w tym celu wystosował do kolegiów szkolnych okólnikowe rozporządzenie, nakazujące, aby „poznańskich stypendyatów“ w razie zgłaszania się ich do niemieckich dzielnic, nie przyjmowano na nauczycieli i w każdym takim wypadku zawiadomiano poznańskie kolegium szkolne, jakoteż ministra oświaty. Tym sposobem p. Studt, nie poprzestając na dobrowolnych germanizatorach, tworzy jeszcze kategoryę nauczycieli, którzy będą „germanizatorami z przymusu“.

Nie na wiele się to Niemcom przyda.

Rezolucye wiecu gnieźnieńskiego, wyrażające gotowość bronienia ojczystej wiary i języka, spowodowane reskryptem p. Studta, wywołały ostrą krytykę „Orędownika“, który twierdził, że wiec gnieźnieński postąpił sobie niepolitycznie i nierozumnie, zajmując stanowisko wobec niemieckiej nauki religii, ponieważ to rzekomo należy jedynie do władzy duchownej.

Nieuzasadnione te zarzuty, dowodzące, jak szkodliwy wpływ wywiera obecne nasze położenie polityczne na słabsze mózgi, odpiera bardzo trafnie gnieźnieński **„Lech“**:

„Zarzut czyni „Oręd.“ Wiecowi gnieź. pisząc, że „wtłoczył na barki społeczeństwa świeckiego“ obie te sprawy t. j. sprawę nauki katechizmu w szkołach i sprawę nauki polskiego czytania, „a księży i X. Arcybiskupa zwolnił od wszelkich obowiązków“.

„A zatem: Ponieważ Gniezno postanowiło założyć Kółko rodzicielskie celem wzajemnego wspomagania i pobudzania się do wzajemnego wypełnienia obowiązków (samo przez się rozumie) rodzicielskich — więc tym sposobem „zwolniło księży i X. Arcybiskupa od wszelkich obowiązków!“ — Gdyby nasze położenie nie było zbyt poważne — gdyby nie było zbyt bolesną, zaciętą świętą walką o wiarę — o narodowość, to moglibyśmy pismo wyprawiające tak liczne podrygi polecić do rozweselenia tym, których ustawiczna susza i liche żniwa pozbawiły dobrego humoru. Mimo, że prawie nie warto traktować takie wybryki logiki na seryo, odpowiadamy spokojnie, że zawsze rodzice mieli i mieć będą obowiązek troszczyć się o wiarę swych dzieci tak samo, jak księża i X. Arcybiskup, i że ani jedna ani druga strona nigdy i przez nikogo zwolnioną z tego obowiązku być nie może. Kto naukę katechizmu chce zwalić tylko na duchowieństwo, a naukę czytania tylko na rodziców, ten nie zna, nie rozumie, albo niechce zrozumieć, najpierw, że wiara jest tak wielkim i ważnym obowiązkim, że rodzice i duchowieństwo ręka w rękę dla niej wszystkie swe siły ofiarować powinni; po drugie, że kwestya nauki czytania ze względu na ścisły związek religii z życiem człowieka w rodzinie, w narodzie i w kościele jest równie ważnym obowiązkiem tak jednej jak drugiej strony. Kółko rodzicielskie podejmując dopilnowanie wypełnienia sumiennego tych obowiązków ze strony rodziców nie mogło i nie może zdjąć tegoż obowiązku z księży i X. Arcybiskupa. Kółko rodzicielskie podejmując obydwa zadania wychowania religijnego i narodowego uczenia katechizmu i czytania, ma tem samem tak naturalną podstawę, że każdy nie uprzedzony i szczerze pragnący dobra naszego społeczeństwa, powitać musi taką organizacyę z uznaniem.“

Podzielamy najzupełniej zapatrywania powyższe.

W sprawie wieca mającego się odbyć 4 go listopada, a zwołanego przez „Postęp“ i „Orędownik“ pisze **„Goniec Wielkopolski“** co następuje:

„Rozłam w społeczeństwie i rozsypka widocznie trwać ma dalej podług marzeń pewnych kół w naszem społeczeństwie, w których wspólna niedola wszystkich jednostek narodu, wspólne klęski i utrapienia nie zdołały wyrobić poczucia łączności i zgody.

„Redakcyi naszej przesłano dzisiaj zawiadomienie o „wiecu polskim“, mają-

cym się odbyć dnia 4 listopada na sali bazarowej. Liczne podpisy, pod odezwą zamieszczone, porówno jak poprzednie przygotowania owego wieca polskiego świadczą, że zwołującym zebranie obywatelom nie chodziło o to, ażeby do udziału w przedwstępnych pracach i uczestnictwa w obradach wiecowych przyciągnąć obywatelstwo wszelkich sfer, stanów i zapatrywań społecznych, jeno tych, którzy się zaznaczali dotąd najgorliwiej jako stronnicy „Orędownika“ i „Postępu“. Taki separatyzm czyli odłączność, nie zgadza się ani z położeniem naszem politycznem, ani też z obecnym ustrojem wewnętrzno-społecznym.

„A dalej pracujmy razem i cierpmy razem.

„Idea obrony wspólnej w obec grozy położenia obecnego, obrony wszystkich braci czy to stanu kmiecego, czy mieszczańskiego, czy wielko-ziemiańskiego zbyt nam jest świętą, ażebyśmy wyłączanie się pod hasłem tej idei pochwalać mogli.

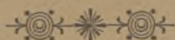
„Wyrównani wielką myślą i wielkim aktem Konstytucyi Trzeciego Maja, zrównani też jako obywatele w obliczu Konstytucyi państwa, do którego — choć gwałtem i wbrew naszej woli nas przydzielono, a zrównani najbardziej wspólną niedolą, musimy potępić rozdwojenie wszelkie tam, gdzie chodzi o obronę całego narodowego bytu.“

„Dążenia i usiłowania nasze w zakresie tej obrony przed wrażym naporem muszą być i będą też niepodzielne, tak jak niepodzielnym jest duch polskiego narodu.“

Zamiary i intencye „Postępu“ i „Orędownika przez zwołanie stronniczego wieca są zbyt przejrzyste, by się niedomyśleć, że chodzi tu znowu o zadokumentowanie wątpliwej żywotności — zagasłego ruchu ludowego orędownikowego. —

Możemy tylko przyklasnąć „Gońcowi Wielkopolskiemu“ za jego śmiałe obywatelskie wystąpienie w tej sprawie, którą „Orędownik“ już dawno przegrał.

My wszyscy ludowcami, z nas każdy ludowcem duszą i ciałem, tylko nie w myśl „Orędownika“, którego gra już przepadła i to bezpowrotnie. *B. M.*



Korespondencya specyalna „Pracy“.

Z Łużyc.

Wjeżdżając koleją idącą ze Zgorzelic do Budziszyna, ujrzałem stolicę Łużyc w całym przepychu natury. Pasma gór Łużyckich ciągną się na około miasta, a strumień mały — Sprewa — przerzyna bystrym biegiem miasto położone na kilku pagórkach.

Poszedłem do miasta, lecz tutaj mi smutnie się zrobiło. Gdzieniegdzie szyldy z napisami łużyckiemi wiszą nad mniejszemi składami, lub nad warsztatem szewskim albo krawieckim, lecz w ogólności przebija duch niemiecki. Poznałem wioski łużyckie, i mogłem powiedzieć, że one są czysto słowiańskie, lecz miasto, muszę z goryczą przyznać, jest czysto niemieckie.

Budziszyn liczy 21516 mieszkańców, pomiędzy tymi 19166 ewangelików, a 2190 katolików i 49 żydów. Trzy kościoły niemiecko-ewangelickie, jeden kościół łużycko-ewangelicki i jeden łużycko-katolicki. Oprócz tego wznosi się na górze kościół symultanny, tum, drugi w swym rodzaju w Niemczech, gdyż tylko Wetzlar nad Renem i Budziszyn coś takiego posiadają. Kościół ten symultanny jest tak urządzony, że na północy służy nabożeństwem ewangelickim a na południu katolickim. Dwa te oddziały są tylko wielkim płotem żelaznym rozdzielone. W roku 1524 przestąpiła z katolickiego kościoła na ewangelicki większa część mieszkańców, więc kościół cały na kościół ewangelicki przemieniono, a katolikom południową część zostawiono i tak po dziś dzień zostało. Do wymienienia godne są jeszcze w Budziszynie ruiny starego zamku łużyckiego, zwanego Ortenburg, który Oton I., cesarz niemiecki, utwarzając Marchią Łużycką, założył.

Oprócz tego ma Budziszyn dwa muzea: łużyckie dopiero co założone i niemieckie. W muzeum łużyckiem jest dokładnie wykazane, jak co rok liczba Łużyczan się w podpadający sposób zmniejsza — jest to bardzo smutne, lecz prawdziwe.

Ducha narodowego wspierają mianowicie Muka, profesor uniwersytecki we Freibergu, syn łużyckiego narodu i Szewczyk, także Łużyczanin. Oprócz tego zajmuje się narodem łużyckim pastor Immisch, Niemiec, który gorliwie piękności języka łużyckiego wykazuje oraz bajki i poezyę ludową zbiera. W Budziszynie wychodzi gazeta „Serbskie Nowiny“, krzepiąca Łużyczan na duchu. Z inteligencyi łużyckiej żyje w Budziszynie kilku doktorów, kupców i t. d.

Opuściłem Budziszyn ze łzą w oku nad naszymi pobratymcami. W mieście dla Łużyczan nie ma przyszłości i widzę tylko bezsilne szamotanie pod dłonią najeźdźcy niemieckiego. Uciekłem więc na wieś, gdyż tam znajdę pociechę, widząc kmiotka prostego jak jest podporą narodu.

Sobeski.



Głosy od Przyjaciół.

Berlin.

Szanowna Redakcyo!

Prawie wszyscy tutejsi Polacy, z małemi wyjątkami, — gdyż w każdem społeczeństwie mamy wyrzutków, — są dobrymi Polakami — w słowie, ale cóż, kiedy czyny ich nie przemawiają za tem. Ale co się tyczy nauczania dzieci języka polskiego w domu, to już wprost panują tu opłakane stosunki. Nie będąc jeszcze w Berlinie, dużo już czytałem po gazetach o tem złem, ale, żeby do tego stopnia źle było, tego nie przypuszczałem. Nie tylko, że dzieci polskie czytać po polsku nie umieją, ale co gorsza — i to w bardzo wielu domach polskich się zdarza — po polsku nawet mówić nie umieją.

Będąc w pewnej rodzinie polskiej, której członkowie mianują się być dobrymi Polakami, a której matka jest przewodniczącą w pewnem polskiem Towarzystwie usłyszałem wyrażenie się 8-letniej córki do matki swej: „Mama, jak ten pan — wskazując na mnie — te „Brille ab“ robi, to wcale „nie ładnego“ wygląda!“

Innym znów razem przyszła zamężna córka tej pani do niej z dzieckiem. Do dziecka tego rozmawiała po niemiecku, na zapytanie moje, dlaczego do niego nie rozmawia po polsku, odpowiedziała, że niech się najprzód dziecko to nauczy po niemiecku, to polska mowa później sama ze siebie przyjdzie. Jest to fakt tem smutniejszy, że tak ona, jak i mąż jej są Polakami.

Albo w innej znów rodzinie wszyscy są Polakami i dobrze mówią po polsku, a najmłodszy syn, 11-letni chłopiec, ani słowa nie umie po polsku.

W ostatnim czasie bardzo rozpisywano się po gazetach polskich o uczęszczaniu na kazania polskie Polaków na obczyźnie. Gazety bowiem nawoływały Polaków na obczyźnie, aby licznie uczęszczali na kazania polskie, gdyż tego nie czynią. Gazety, wychodzące na obczyźnie, brały znowu w obronę tych Polaków. Ale, że gazety, nawołujące do uczęszczania na kazania polskie, miały w pewnej mierze słuszność, o tem można się przekonać co niedzielę, tu w Berlinie w kościele św. Piusa. Ledwie że się msza św. skończy, — nawet jeszcze nie zupełnie — to już hurmem opuszczają Polacy kościół, twierdzą bowiem, że to im za długo trwa, a zresztą to, co ksiądz gada, to oni już dawno znają. Ale kiedy po mszy idą do restauracyi i tam pijąc, siedzą czasem do późnego wieczora, to im się nie dłuży. Smutne!

Jeszcze jedno muszę zganić co naraża Polaków na szyderstwo Niemców. Otóż, kiedy Polacy schodzą się na polskie nabożeństwo do kościoła św. Piusa, zbierają się na ulicy i tam całemi masami stoją i rozmawiają i dopiero około Podniesienia ściągają do kościoła, przeszkadzając pobożnym w nabożeństwie. To powinien tutejszy „Dziennik Berliński“ poruszyć.

Na dzisiaj zakończam niniejszy list temi spostrzeżeniami, a jeżeli Szanowna Redakcya „Pracy“ nie będzie miała nic przeciwko temu, to raz po raz będę przesyłał korespondencye o działaniu tutejszych Polaków na niwie narodowej. (Bardzo prosimy. Red.)

Przy końcu życzę Szanownemu Wydawnictwu „Pracy“ jak najlepszego powodzenia i jak największego koła czytelników. Z głębokim szacunkiem

I. P.

Złote myśli.

Lepiej zawczasu do dalekiej podróży się gotować, niż nagle w dzień wyjazdu, bo przy rozgardyaszu i pośpiechu wiele rzeczy można zapomnieć lub źle zapakować. Do podróży w wieczność też długo i dobrze gotować się trzeba. Myśl o śmierci jest wprawdzie smutna dla słabych, straszna dla złych, ale słodka dla nieszczęśliwych. *Tańska.*

* *

Mówi przysłowie, że o umarłych trzeba mówić albo dobrze, albo nic. Gdyby wszyscy tak czynili, toby historya była ciągłym panegirykiem tak dobrych jak i złych. Historya musi o umarłych mówić prawdę dla nauki żyjących — musimy wiedzieć, co ludzie dobrego lub złego czynili. *Chodźko.*

W Dzień Zaduszny.

Ponuro — smętnie — w tej jesiennej porze,
Za dusze zmarłych po kościołach dzwonią,
A żywe serca do Ciebie się Boże
Żałobną modłą przed ołtarze chronią! —
Każdy umarłe wypomina swoje
I duchem z niemi dziś modlitwą żyje,
W wieniec pamięci i kwieciste zwoje
Stroi żałobne wspomnień requie,
Których chorałem
Dziś sercem całem,
Wśród zmarłych cienia,
Haracz cierpienia
W cmentarnym progu
Oddając Bogu —
W psalmie pamięci,
Mogiłę święci . . . .

Gdyby się wszystkie uczucia tu zlało —
Wszystkie tęsknoty i wszystkie żałoby —
Łez by zaiste na ziemi niestało! . . . .
Ale Bóg wiarą opromienił groby,
Że w nich tu tylko jest prochem ujęte
I prochem w prochu się ziemskim rozłoży —
To, co z tej ziemi tu było poczęte;
Lecz duch zostaje! — Ten posłannik Boży —
Ten wiecznie święty —
Z Boga poczęty
I powołany
Duch nieskalany!
Który niezmiennie —
Świeci promiennie,
Po za grobami,
Obcując z nami . . . .

Psalmów żałobnych i zadusznych dzwonów
Słuchając dzisiaj z pochylonem czołem
Myśl się tam moja wśród ducha legionów
Unosi w górę — i świetlanem kołem
Marzeń ujęta — widzi duchów grona,
I patrząc na nie, w widzenia godzinie
Przez łzy do nieba wyciąga ramiona —
A tęskni do nich i do niebios płynie —
Psalmy świętemi
Modląc się z niemi! . . . .
Bo one w Bogu
Z wszechświatów progu
W niebie poczęte
I w niebo wzięte,
Świecą tej ziemi
Gwiazdy jasnemi! . . .

Obcując z nami — te, co są już w niebie,
Te co tu ongi żyły w dobrej wierze,
Wedle zakonu — i w każdej potrzebie
Przymierze z Panem zachowali szczerze; —
Ci, którzy duchem byli iście żywi
Tutaj na ziemi — a Bogu oddani
W rodzinie czyści i w kraju uczciwi,
Doszli bezpiecznie do niebios przystani!
Nie na ich groby,
Ten głos żałoby —
On je dziś święci
Hymnem pamięci
Łączy się z niemi
Modły rzewnemi
Z nieba ujętej
Harmonii świętej! . . . .

Ale żałobne nie ustają dzwony —
Modlitwa rzewna i bolesne łkanie,



Unoszą w górę żal nieutulony,
Jakim do Ciebie my się modlim Panie!
Nie wiedząc komuś Ty przebaczył Boże —
Komuś tam z naszych otworzył podwoje; —
Bo my nie wiemy kto tam jeszcze może
Nie wstąpił dotąd — w to Królestwo Twoje! . . . .
Więc przyjm w niebiosy
Tej pieśni głosy,
Ten dzwon żałoby
Co święci groby
A echem z dali —
Żali się, żali —
Dzwoniąc w pokorze
Na sądy Boże! . . . .

My ich tam wszystkich i te wszystkie społem
Zdajem na łaskę i w opiekę Twoją —
One tam stojąc z pochylonem czołem,
Łzą i pokutą — Twe serce rozbroją! . . .
Ojciec tam będzie sądzić swoje dzieci
Wskaże im — wskaże tam godło zbawienia —
Grzesznym przebaczy i błędnych oświeci
I dzwon się ozwie — głosem przebaczenia —
Wysoko w górze,
Na nieb lazurze! . . . .
Ale nie wzbudzi
Umarłych ludzi
Tych — ciałem żywych,
Trupów prawdziwych! —
Te straszne mary,
Bez czci i wiary! . . . .

Gdybyś Ty Boże nam tego nie bronił —
Gdyby to mogło być tylko godziwe —
Tobym od serca tu requiem dzwonił
Przekleństwem hańby — na te trupy żywe,
Zaprzańców Boga — Ojczyzny — rodziny —
Wykwintnych graczy i sprosnych szulerów —
Na te po ojcach zwyrodniałe syny —
Na czci i pracy — nędznych dezerterów!
A w konsekwencyi,
Społem wyklęci
Łzami polskiemi,
Przekupnie ziemi,
Na polskim łanie
„Targowiczanie“!
Których pamięci
Ojczyzna święci
*To **„Morituri“**!*

Gdybyś Ty Boże tego nie wzbronił
Jabym bez końca przekleństwem dzwonił —
Dzwoniłbym — dzwonił! głośno i śmiało,
Żeby aż w piekle tam zaszumiało! —
W jaskrawem piekle kol . . . .
Ogniem i mieczem ge . . . .!
W której tam szponach ujęte
Dławią się duchy wyklęte —
*A **„Targowica“** opluwana*
Śmiechem i wzgardą szatana! . . . .

. . . .

Och! gdybyś Boże tego niewzbronił,
Dzwoniłbym wiecznie — dzwonił i dzwonił
Głosem sumienia — w duchów pogoni,
Pokąd im — djabeł sam nie zadzwoni
*Na **„Requiescant in pace“**!*

B.

Poznań, dnia 2 Listopada 1900.





Pamięć o zmarłych.

Idż ze świata ku mogile,
Idż do mędrców, do guślarzy!
Mrok tajemnic nas otacza...,
„Dziady“ cz. 1-sza.

Zaduszki — dzień poświęcony pamięci zmarłych, dzień smutnych i rzewnych wzruszeń, zamierzchłych wieków zachował obyczaj. W dniu tym matka spieszy na grób dziecięcia, dziecię — ojca, przyjaciel — przyjaciela, niosąc, prócz modlitwy serca, zielony wieniec pamięci i lampę gorejącą, jako symbol płonących uczuć.

Jak wzniosła jednak różnica zachodzi między modlitwą żony, pochylonej w ciszy nad mogiłą męża, z sercem przepełnionem uczuciem nadziei i wiary, a ową poganką, składającą pamięci zmarłego ofiarę chleba, a często własnego życia!

Złagodniały i wyszlachetniały zwyczaje i wierzenia pogańszczyzny pod wpływem całych okresów cywilizacyi umysłu ludzkiego, lecz ślady form dawnych, czysto materyalnych, pozostały w różnych warstwach społeczeństwa z mniej lub więcej wybitną cechą.

Według pojęcia ludów pierwotnych, śmierć nie zrywała stosunków zmarłego z ziemią i nie pozbawiła go tych potrzeb, jakie miał za życia. Ciało, objęte snem spokojnym, pozostawało w ziemi, a dusza wyzwolona ulatywała w krainy przodków, by ztamtąd czuwać nad szczęściem pozostałych. W pewnych chwilach zjawiała się ona na tym świecie w postaci gołębia, sokoła, motyla, robaczka, proszku, zaglądała do chaty rodzinnej, aby spojrzawszy na czyny żyjących, dać im przestrogę, ofiarować pomoc, lub groźnie ukarać winę. Nie wszystkie jednak dusze miały dostęp do krainy spokoju i szczęścia: duchy ludzi złych musiały długo błąkać się po ziemi i w postaci wilka, nietoperza, sowy, kruka, lub też strzygi, rusałki, boginki i t. p. pokutować za winy popełnione.

Chęć zapewnienia sobie opieki i pomocy duchów dobrych z jednej strony, obawa i dążność do zabezpieczenia i uchronienia się od złośliwości złych z drugiej, wyrodziły konieczną potrzebę zjednywania i przejednywania ich sobie. Uważając zaś duszę, jako istotę powietrzną i eteryczną, a obok tego przypisując jej wszystkie cechy materyalne, przypuszczali przodkowie nasi, w dziwnej tej niezgodzie pojęć, że zjednać ją sobie można tylko pamięcią dostarczania potrzeb, jakie miał za życia.

Przypisywanie duchom cech materyalnych utrzymało się jeszcze do dni dzisiejszych u ludu.

W Opatowskiem słyszałem n. p. mniemanie, że dusza posiada ciężkość. Po śmierci człowieka dusza przebywa w ciele jeszcze do pierwszych dzwonów pogrzebowych. Gdy te się odezwą — ulatuje, a ci, którzy niosą trumnę, twierdzą, że zmarły stracił znacznie na wadze. Pokrewny przesąd spotykamy u Serbów i Bulgarów. Mniemanie to, być może ma swój początek w wierze starożytnych ludów, że głos dzwonu (dawniej jeszcze grzechotek) odpędza złe, a dusza wtedy już bez niebezpieczeństwa wędruje do nieba.

Jeżeli więc do dziś dnia utrzymały się podobne wierzenia, o ile one były żywsze w umysłach dawnych pokoleń!

Według świadectw historycznych i pozostałych obecnie między ludem zwyczajów i obrzędów, pamięć zmarłych obchodzono od najdawniejszych czasów głównie na wiosnę i w jesieni. Wiosna, jako chwila, budząca całą przyrodę do nowego życia, i jesień, układająca ją do dłuższego spoczynku, najwięcej usposabiały umysły ludzi do wspominania umarłych.

Każda z tych pór roku ma swoje dni uprzywilejowane tradycyą, w których lud gromadzi się z wielką uroczystością na cmentarzach, odprawia nabożeństwa i zachowuje mnóstwo odwiecznych zwyczajów.

Wiosenne wspominki zmarłych lud obchodzi przeważnie w czasie i po świętach wielkanocnych. Do nich należą także wigilia i dni po Zielonych Świątkach: jest to tak zwany u Bulgarów i na Podlasiu „rusalny tydzień“, poświęcony dziewicom zmarłym, na pokutę skazanym. Jesienne dni żałoby zgrupowały się, z małym wyjątkiem, około i w dniu 2-im listopada. U Rosyan szczególną cześć zmarłym oddają przy końcu października, w tak zwaną „Dmitrowską sobotę“, w Polsce w wigilię Zaduszek i w dniu Zaduszek, 2-go listopada. W gub. Grodzieńskiej i Wileńskiej, w Kurlandyi i Prusiech obchodzą w tym czasie święto „Dziadów“.

W tych to dniach uroczystych były przygotowywane uczty dla nieboszczyków. Jedzenie stanowi jedną z największych rozkoszy dla ludzi mało rozwiniętych, zaspokojenie głodu i pragnienia główną potrzebę; najważniejszym zatem dowodem pamięci żyjących o zmarłych było karmienie ich materyalnie pojmowanych duchów.

Zebrani krewni i przyjaciele ubierają na cmentarzach groby zielenią, lampkami, figurkami, zaściełają mogiły obrusami, na których stawiają pokarmy i napoje. Rozpoczyna się biesiada, wśród której zapraszają uprzejmie duchy przodków do udziału. Od chwili do chwili rzucają trochę jedzenia na stronę i wylewają nieco napoju na mogiły lub stos obok płonący. Jest to ofiara dla duszyczek, które krążą niewidomie do okoła.

Wieczorem urządzają dla zmarłych stypę ponowną. Pieką na nią właściwe ciasto, pierożki lub placuszki, gotują najlepsze potrawy i zastawiają niemi stoły. Najstarszy wiekiem, dawniej guślarz, rozpoczyna uroczystość modlitwą. Rzuciwszy następnie cząstkę każdej potrawy pod stół lub za piec i ulawszy nieco napojów na obrus, zaprasza dusze nieboszczyków:

„Czyścowe duszeczki!
W jakiejkolwiek świata stronie:

Czyli która w smole płonie,
Czyli marznie na dnie rzeczki,
Czyli, dla dotkliwszej kary,
W surowem wszczepiona drewnie,
Gdy ją w piecu gryzą żary,
I piszczy, i płacze rzewnie:
Każda śpieszcie do gromady!
Gromada niech się tu zbierze!
Oto obchodzimy Dziady!
Zstępujcie w święty przybytek;
Jest jałmużna, są pacierze,
I jedzenie i napitek."
„Dziady", cz. II-ga.

Po skończonej uczcie przewodniczący odmawia ponowne modlitwy pożegnalne, okruchy zgarnia na ziemię i wypędza duszyczki:

„Teraz z Bogiem idźcie sobie,
A kto prośby nie posłucha,
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Widzicie Pański krzyż?
A kysz, a kysz!"
„Dziady," cz. II-ga.

Biesiadnicy rozchodzą się, gospodyni wymiata izbę nową miotłą i kończy uroczystość rozdaniem resztek ubogim, oczekującym zwykle za drzwiami. Biesiady podobne były niegdyś wspólne nie tylko całej Słowiańszczyźnie, lecz wszystkim ludom. Dziś jeszcze w Małej Bretanii, około północy, po wspólnej uczcie, domowi rozchodzą się, lecz pozostawiają stół pełny jadła i napoju. Bretonowie wierzą, że w dniu zadusznym o 12-ej godzinie duchy ukochanych przychodzą niewidzialnie pod rodzinną strzechę, aby zakosztować uczty domowej. W Tyrolu, Bawaryi, Czechach niemieckich, kiedy zbliża się czas zaduszek, wtedy troska o nieboszczyków staje się żywszą. W każdym domu światło się pali przez noc całą, drzwi, a przynajmniej okno pozostawia się otworem, na stole zaś zastawiają wieczerzę. Ludzie udają się na spoczynek wcześniej, aby dać możność drogim aniołkom wchodzić i wieczerzać bez przeszkody.

Wogóle dni, poświęcane pamięci zmarłych, lud zapełnił mnóstwem wierzeń i zabobonów. W Opatowskiem, koło Cmielowa, lud mniema, że w dzień zaduszny dusza każdego człowieka zmarłego odwiedza dom, w którym się urodziła i wychowała. Kryje się ona zwykle w kominie i słucha, co krewni mówią. Nadlatującą duszę widzi często pies; poczyna więc naszczekiwać i wyć żałośnie. Boże broń wtedy szczuć nim, dusza rozgniewana zemściłaby się okropnie! Dlatego przez cały dzień zaduszny psami szczuć nie należy. Żaden wieśniak nie odważy się w dniu tym orać, ani kobieta chałupę wylepiać, można bowiem duszę z ziemi wyorać, albo w ścianie zalepić. W nocy zmarli zbierają się w kościołach parafialnych i słuchają nabożeństw, które duchy księży odprawiają.

Lud strzeże się niepokoić nieboszczyków przyzywaniem lub rozpaczą: płacz ziemski mąci im spokój i truje wiekuistą szczęśliwość. Najmowanie niegdyś płaczek, być może, było z tem wierzeniem w związku. Szczególniej matka nie powinna nigdy rozpaczać po stracie dziecka, rzadziej dziecko po matce. Wierzenia powyższe, jak i to ostatnie, odnajdujemy również w paru fantastycznych legendach, które krążą w Sandomierskiem. Pewne dziewczę opłakiwało śmierć matki, a złamane sieroctwem, w ciągłem smutku i łzach życie trawiło. Przejęte wiarą, że duchy w noc zaduszną przychodzą modlić się w kościele, stanęło pod murem cmentarnym, aby choć raz jeszcze matulenkę zobaczyć. I ujrzało ją w gronie duchów innych, lecz smutną i wynędzniałą, z wielkim i ciężkim dzbanem w rękach. Widząc to, biegnie sierota naprzeciw i pyta: „Matulu, czemu dźwigasz ten dzban ciężki, wodą jakąś napełniony?" „Nie woda to, dziecię kochane, odrzecze matka — lecz łzy. Źle robiłaś, płacząc za mną; każda łezka twoja spadała do dzbana, i wypełnił on się bólem i żalem sierocym, a ja nieszczęsna nosić go teraz muszę do chwili wyznaczonej. Módl się, lecz nie płacz i nie wyrzekaj, ciężko jest bowiem matce znosić łzy dzieciny, którą na ziemi bezsilną zostawia."



Sierota na grobie matki.

Odmienną i odwrotną w założeniu jest legenda z okolic Ożarowa: Matka opłakuje śmierć ślicznej córki Marysi. Roztęskniona, pragnie choć „razicek je obocyć." Udaje się do kumów i organisty po poradę, lecz ci sposobu nie znajdują. Idzie więc do proboszcza i otrzymuje następującą naukę: „Oblic sie, moja matko, w mynarski kozusek, idź do kościoła w zaduski kole północka i stoń se za wielgiemi dźwiami i córke obocys." Tak też biedna matka zrobiła. Przed północą poczęła wkraczać do kościoła procesya z duchów złożona. Na przedzie ksiądz i organista „jak się należy," za nimi tłum zmarłych, a na samym końcu dopiero szła Marysia z dwoma dzbanami pełnemi łez. Spostrzegłszy ją matka, rzuca się, chcąc pochwycić ukochaną córkę w ramiona, lecz ta, ze strasznym okrzykiem bije i odpycha nieszczęsną, przywołując duchy inne na pomoc. Przerażone matczysko poczęło uciekać, lecz duchy puściły się w pogoń; dopiero gdy rzuciła poza siebie kożuch barani, zatrzymały się, rozszarpując go w strzępki. Biedna kobieta tak jednak była zbitą, że w parę tygodni umarła.

Waryant tej „godki," wielce w szczegółach różny i niezmiernie ciekawy, zapisałem również w tych samych okolicach; przytaczam go w gwarze miejscowej, aby właściwą mu oryginalność utrzymać.

„Jedna kobita miała jeno jedno dziwuchę. Dziwucha była juz doskónało [1]) i pomarła ty kobiece. Tak óna śtrasnie płakała za to dziwucho. [2]) Ale ty kobicie sie śni, co ta dziwucha do ni przysła i kole łózka stoi, tak

[1]) Dorosła.
[2]) Lud miejscowy nie wymawia ani ą ani ę.



Cmentarz.

ta kobita się pyto: „A jak ci tam na tamtym świecie?“ A óna godo: „Moja matusiu, jo ta nie jezdem w kościele(?), ino siedze tu w ty izbie za piecem i wszyćko widze, co sie ino dzieje w izbie; ale wy matusiu nie płaccie, bo jo dźwigom tu te łzy we dzbanie.“ Tak na drugo noc ta kobita wziena jodła[3]) na miske i na piecu postawiła; ale kole pónocka[4]), jak sie układła ta kobita, jak ta dziwucha kropnie óno miske na izbe, tak sie wszyćko ozleciało. A w nocy to sie ta dziwucha układła kole matki i tak z nio spała. Ale ta matka to jo wcioz widziała, co se óna po izbie chodziła. Ale tego jodła to juz wiecy ta dziwucha nie kazała im stawiać.“

Bardzo zbliżoną legendę do drugiej naszej przytacza nam Kulikowski z gub. Kijowskiej. Zamiast córki występuje syn z wiadrem łez, a matka bierze z sobą zamiast baraniego kożucha — koguta, którego pianie rozpędza dusze. Ks. Siarkowski zaznajamia nas także z odmianką z Pinczowskiego. Matka spotyka córkę nieboszczkę, obciążoną dwiema konwiami łez. Legenda ta o jednych i tych samych wątkach, znaną jest nie tylko u nas, nie tylko u pobratymców naszych, lecz i u Niemców. Dr. Ploss w dziele „Das Kind in Brauch und Sitte der Völker“ (Tom I, str. 96) przytacza oto bajkę następującą. Pewna młoda kobieta, której umarło dziecko, ujrzała w nocy przed świętem Trzech królów boginię Perchtę, przelatującą w orszaku dzieci zmarłych. Między niemi dostrzegła i swoje z wielkim dzbanem wody. Zmordowane maleństwo pozostało z tyłu, podczas gdy reszta dzieci wesoło przeskakiwała przez płot wysoki. Widząc to, wzięła matka je na ręce i przez przeszkodę przesadziła. Dziecina z wdzięcznością spojrzała na matkę i rzekła „Ach, jak ciepłą jest ręka matki; nie płaczże matko tak bardzo; zwiększasz tem tylko ciężar dzbana mojego. Patrz, już całą koszulinę zmaczałam we łzach twoich.“ Od tego czasu matka już nigdy nie opłakiwała straconego dziecięcia.

Że zachodzi między legendami powyższemi wielkie powinowactwo, nie ulega wątpliwości, lecz gdzie szukać należy ich rodowodu, która z nich jest typową, trudno bardzo zawyrokować. „Dopóki bowiem — jak mówi dr. Karłowicz — nie zestawimy i nie porównamy zapisanych już podań naszych, dopóki nie poznamy pokrewnych im wątków u Słowian i innych szczepów, dopóki nie wyjaśnimy mechanizmu składania się bajek, dopóki nie poznamy pokrewieństwa i rodowodu wątków pojedyńczych — dopóty nie będziemy dostatecznie przygotowani do rozpraw ogólniejszej natury.“

3) Jadła.

4) W niektórych wyrazach czasem *ł* opuszczają.

Ponieważ zaś spisanych legend, zwyczajów i wierzeń, odnoszących się do dni zadusznych w szczególności, a w ogóle do pojęć o świecie pozagrobowym, mamy liczbę nie wielką, a te, które zbieracze zdołali już zapisać, po większej części, są porozrzucane luźnie w najrozmaitszych pismach i wydawnictwach; należy nam więc z jednej strony, materyał gotowy skupić w jedno, z drugiej, wyzbierać skrzętnie resztki, jakie lud nasz w swej pamięci do dziś dnia zachował, a wtedy wypełnimy zaledwie część pierwszą słusznego żądania szanownego d-ra Karłowicza.

Szczęsny Jastrzębowski.



Na grobach.

Kłębią się w górze tumany liści —
Wicher nie szczędzi swej siły,
I miota nimi coraz rzęsiściej
Na świeże ludzkie mogiły.

I lecą liście z żałosnym szmerem,
I wrzawę życiową głuszą,
Każdy z nich dźwięczy uczuciem szczerem,
Jak gdyby żywą był duszą...

Jak gdyby wiedział, co ludzi boli,
I jęczał z nimi, łkał razem,
Wirując w ciężkiej wichrów niewoli,
Nad wspólnym mogiły głazem.

Od chmur jesiennych cień brudny, szary,
Kolumny grobowców liże,
Nawpół bezlistne sterczą konary,
Pośrodku czernieją krzyże.

Co też tych krzyżów stoi dokoła —
Prawdziwa Golgota świata!
Mech im nadgniłe przegryza czoła,
Wkrąg bluszcz ramiona oplata.

I stoją smętne, milczące świadki
Życia, co dawno przebrzmiało;
Słońce gość dla nich dziwny i rzadki,
Tak go tu skąpo i mało!...

Lecz cóż to? wieńce na grobach świeże?
Nieśmiertelniki i astry?
Co słyszę?... głosy?... skąd tu się bierze
Wrzawa światowej hałastry?

Anioł tu śmierci stoi na straży,
Strzeże zwłok ludzkich w tej ziemi,
Tu miejsce święte — któż tu się waży
Kalać je krzyki dzikiemi?

A to co?... lampki jakieś migają?
Pewno ku biesiad ozdobie?
Precz stąd, nikczemni! precz, podła zgrajo!
Pokażę orgię wnet tobie!

. . . .

U stóp grobowca, z czołem schylonem,
Klęczy niewiasta tak młoda!
Pod czarnym długim, do stóp welonem,
Lic się ukrywa uroda.

Czyż nią dumania owładła siła,
I w słodkiem marzeniu tonie?
Lecz czemuż postać swą pochyliła,
I załamała swe dłonie?

A może to jest zaklęta dusza,
Odziana w złudnych szat cienie?
Lecz cóż to? wiatr jej welon porusza?
Ach, nie, to z piersi westchnienie...

Faluje łono, niby bałwany
Nad sinym wód oceanie,
Jakże mi ruch ów i głos jest znany —
To piersi niewieściej łkanie.

Czyżby grom związek chmur stargał ścisły,
Strugi się deszczu polały?
I na welonie krople zawisły?
Ach, nie! to łez lśnią kryształy!

A może, sądząc, że przed kurzawą
Liści pierś swoją osłoni,
Złożyła ręce: lewą na prawą —
Och, nie! to nagły skurcz dłoni!

Po cóż tu przyszła z jękiem i płaczem
Potrącać w żalów ogniwa?
Po kim zawodzi — i tęskni za czem
Pośród umarłych ta żywa?

Tu prochy tylko, czaszki, piszczele —
Żaden duch ludzki nie gości,
Mech i liść zeschły łoże tu ściele,
Dla mrącej z bólów ludzkości.

Po cóż uderza czołem w marmury,
Drze szaty i włosy targa?
Gdy grób zamknięty milczy ponury,
Bez echa zamiera skarga?...

I stałem długo gorzko zaduman, —
Wtem wicher, nagle zbudzony,
Porwał w ramiona z mchów liści tuman,
We wszystkie szarpiąc nim strony...

I w myślach swoich doznałem zmiany —
Prawd słońce błysło w iskierce —
Szaleństwo wichrów — toż żal wezbrany,
A liść ów każdy — to serce!...

. . . .

Więc nie na orgię i ku uciesze,
Pomiędzy mogił tych rzędy,
Przybyły zdala wielkie te rzesze,
Lecz żałość wiodła je tędy?

Więc to nie krzyki, nie pusta wrzawa,
Echem rozbrzmiewa dokoła?
Lecz skarga serca okropna, krwawa,
Uderza w grobowców czoła!

Więc rąk tych skurcze — to znak widomy
Boleści, co szarpie łona,
Więc żalów, tęsknot takie ogromy
Człowiek zostawia, gdy kona?!

Więc prochy jego, co w ziemi leżą,
Tylu są sieroctw przyczyną,
Wznawiając ranę wspomnienia świeżą,
I łzy, co po licach płyną?!

. . . .

Wicher to wzrasta, słabnie na zmianę,
Liście szelestem się żalą,
Migają lampki, jakby usiane,
To gasną — to znów się palą...

Na grobach ludzie klęczą, łzy leją,
Ściskają marmur i głazy,
Tu serca rozbrat biorą z nadzieją,
Na wargach stygną wyrazy...

Tu żal i rozpacz — wszechwładne panie,
A ich królestwo — mogiły!
Kto się w ich władzę straszną dostanie,
Ten już kochanek ich miły!

Już go z swych objęć nie puszczą więcej —
Wciąż cieniów musi iść drogą,
Choćby świecznikiem był dla tysięcy —
Nic rozpacz, łzy nie pomogą!

Modlitwa tylko cicha a szczera
Zwycięża śmierci anioła,
Wnętrze mogiły czasem otwiera,
Cień nieboszczyka przywoła.

Nie krzyk i jęki, ani łez rzeki,
Lecz tylko modlitwa stara,
Którą zmierzch dziejów stworzył daleki,
Praojców miłość i wiara.

Ach; ona jedna zdolna jest w sobie
Stłumić rozpaczy jęk głuchy,
Połączyć żywych z zmarłymi w grobie,
Pobratać wzajem ich duchy...

Lecz gdzież modlitwy tej szukać trzeba,
Skąd do niej czerpać natchnienie?
Tak są wysoko błękity nieba!
A tak jest blizkie zwątpienie!...

. . . .

Zaszeleściały pożółkłe liście,
Tym razem ciszej, inaczej,
Jakby wieściły wkrąg uroczyście
Zgon żalów, łez i rozpaczy...

I wiatr odsłonił ramiona krzyża,
Symbol nadziei i wiary,
I moc powiała od krzyża świeża
Na ludzi, drzewa, świat stary...

Niestety! serce musi znieść swoje —
Ból na łzy ofiar nie czeka!
Życie — to wieczne walki i znoje,
Krótko trwa spokój człowieka!

Tak wicher wzrasta, słabnie na zmianę,
Liście szelestem się żalą,
Migają lampki, jakby usiane,
To gasną — to znów się palą...

W. Dzierżanowski.





Kult zmarłych.

Jest w przyrodzie jedno wielkie, bezlitośne prawo, niewzruszone prawo kresu, końca wszystkiemu, co rośnie, kwitnie, oddycha i myśli... Wszystko, co żyje, roślinka, która z łona ziemi czerpie soki, i najwyższy twór przyrody i pogromca jej — człowiek — wszystko zarówno małe i nędzne wobec Potęgi nieubłaganej, i wszystko jedną nicością zbratane w jej uścisku... Jest w każdej istności chwila jedna, kiedy sił do rozwoju braknąć zaczyna, kiedy bledną barw blaski, więdną kwiatów kielichy, kiedy siwizny srebrna aureola stare czaszki wieńczy, w każdej zmarszczce jedną kreskę do strasznego finału dodając...

A potem jest beznadziejnie tragiczna chwila odejścia...

Jest moment walki strasznej, ohydnej, kiedy z mrozem okrutnym idzie wielka niszczycielka, powoli studząc ciało życiem bijące... A potem jest jeszcze większy tragizm: krwawe łzy tych, co zostają, i bezłzawa, najsmutniejsza dola tych, po których nikt nie płacze...

I jeśli głowy chylić musimy przed tą potęgą, co nieubłagana, zasadnicze natury prawo, kroczy od dni pierwszych stworzenia, to niemniej w pamięci naszej, w sercach zbolałych, myśl o tych, co odeszli, żywem tli się przypomnieniem.

I jest jakaś rzewna, melancholii pełna pociecha w tej czci, którą drogim zmarłym oddajemy, czci tak starej, jak ludzkość jest starą, w zwyczaju, co się razem z człowiekiem rozwijał, będąc zrazu religijnym obrzędem dzikiego, powoli stając się zwyczajem szanowanym przez tradycyę jeno. Od chwili, kiedy dziki puszcz dziewiczych mieszkaniec zastanawiać się zaczął: czem jest to, co sprawia, iż on

żyje, że chodzi, poluje, goni zwierzynę, w odróżnieniu od głazów, co wiecznie martwe leżą — od tej chwili, kiedy człowiek zaczął w sobie podejrzewać istnienie jakiegoś pierwiastku, co o życiu jego stanowił — rozwija się kult zmarłych.

To „coś“, co robi człowieka żywym, owa dusza, w pojęciu dzikiego, opuszczając ciało, przebywa w pobliżu grobu, domu, w którym zmarły mieszkał, błąka się wokoło osób, które lubił za życia.

Są też krainy mgliste, dziwne, na krańcach eterów będące, w których żyją dusze zmarłych, i te nieba wszystkich narodów, te kraje pełne szczęśliwości, w których ziszczą się każdemu ideały niedoścignione, które pieścił na ziemskim padole. I ów pozagrobowy świat istnieje w wierzeniach wszystkich prawie ludów, pod wszystkiemi szerokościami geograficznemi, łącząc wszystkich w wierzeniu animistycznem, jednem z najpowszechniejszych na świecie.

A w owem obłocznem państwie takież same, jak na ziemi, panują hierarchie: są panowie, są sługi, królowie i dworacy.

Stąd wypłynął ten okrutny zwyczaj zabijania po śmierci wojownika lub władzcy żon jego, sług i niewolników.

Karybowie zabijają wszystkich niewolników na grobie pana, zalecając im przed śmiercią, aby na tamtym świecie wiernie władzcy swemu służyli.

U wielu plemion dzikich umarłego grzebią wraz z niewolnikami, oraz z odpowiedniem jadłem.

W Dahomeju, niedość, że po śmierci króla wyrzynają prawie cały dwór jego, ale uważają, że należy corocznie odświeżać ową pozagrobową służbę. Rezultatem tego przekonania są doroczne rzezie, uzupełniane niemal codziennemi zabójstwami w postaci ofiar.

A że panuje tam jeszcze wiara w możność porozumiewania się ze zmarłymi, więc, gdy zachodzi potrzeba zakomunikowania jakiej wiadomości zgasłemu królowi, następca jego wybiera jeńca wojennego, tłómaczy mu jego posłannictwo i polecenie, poczem nakazuje go zabić, a dusza jego zaniesie wraz z pokłonem czołobitności sprawozdanie z czynności syna zgasłemu dawno ojcu.

Znane są opisy ofiar wdów po indyjskich książętach, a wiemy przecie, że i na grobie Patroklesa złożono konia i psy ulubione.

U Słowian palono na stosie pana odzież jego, broń, psy, konie i wierne sługi.

Ofiary pogrzebowe istnieją u wszystkich prawie narodów.

U Greków składano ofiary na grobach pod postacią pokarmów i napojów, aby dusze przebywających w Hadesie mogły się posilić.

Uroczystość Dziadów jest prawie tem samem.

U starożytnych Gallów grzebano zmarłego wraz z ulubionemi sprzętami; a tak mocno wierzyli oni w pozagrobowe życie, że ufali, iż długi nieuiszczone za życia będą spłacone po śmierci.

Przekonanie to dzielili już w czasach nowożytnych Japończycy, którzy, pożyczając pieniędzy, obowiązywali się wypłacać je wraz z procentami po śmierci.

Dusze Normandów, jak pisze Taylor, zabierały na tamten świat służących, konie, łodzie i pieniądze na przewóz.

Litwini i starożytni Prusowie składali ofiary z ludzi, zwierząt i przeróżnych przedmiotów. Wierzyli oni, że na tamtym świecie każdy żyje i zmartwychpowstanie w hierarchii, którą za życia zajmował: pan — panem, chłop — chłopem.

Litwini stawiali dom wielkiego kapłana, Krywe-Krywejto, na górze wysokiej i stromej, Anafielas. Dusze zmarłych musiały się na tę górę wdrapywać i przechodzić przez arcykapłański dom. Dlatego palono wraz ze zwłokami pazury niedźwiedzie i rysie, aby dusze łatwiej dostać się na ową wyniosłość mogły.

Niezmiernie ciekawym jest zwyczaj składania przy zmarłych pieniędzy, dla opłacenia kosztów przejazdu w krainy niezmąconego spokoju, lub na przekupienie stróżów rajskich.

W Grecyi starożytnej grzebano zmarłych z obolem w ustach, na opłacenie Charona, a ciasto z miodem było przeznaczone dla Cerbera. Tylko w Hermionie, w Argolidzie, umarłych nie zaopatrywano w pieniądze, twierdząc, że droga do Hadesu z tej miejscowości jest zbyt blizką.

Santalowie z Bengalu stawiają dwa naczynia, z wodą i ryżem, i kładą kilka rupii, aby umarły miał czem przekupić demonów na progu wieczności. Ale skoro stos jest gotów, zabierają te przedmioty.

W Chinach urządzają się jeszcze praktyczniej. Oto zastępują kosztowne ofiary bezwartościowemi przedmiotami. Naśladowane z cynfolii monety, ładne domy papierowe, klucze papierowe, do otwarcia papierowych zamków u skrzyń papierowych; wszystko to pali się na stosie zmarłego Chińczyka, niby z przekonaniem, że przedmioty te na tamtym świecie zamienią się na istotne złoto i srebro.

Zwyczaj ofiar pogrzebowych, składanych na cześć zmarłych, przechował się do czasów naszych.

Nowożytni Grecy nie zapomnieli też o obolu przekupnym swych przodków.

Prusacy starożytni zaopatrywali umarłych w pieniądze, aby mogli kupić posiłek na drogę. Dzisiejszy chłop niemiecki wkłada umarłemu do rąk, lub do ust, monetę kilkogroszową.

Pierwsi chrześcianie wkładali do grobów ozdoby, służące do ubrania, i zabawki dziecinne.

Grecy nowożytni kładą na mogile żeglarza ster, a groby rzemieślników zdobią odpowiedniemi znakami.

Praktycznie wyzyskali ten zwyczaj kapłani Indów: kto da mleko kapłanowi, znajdzie wodę na tamtym świecie, kto daruje dom za życia, pałac znajdzie po śmierci.

Zwyczaj obsypywania kwiatami mogił do przedchrześciańskich należy czasów, zarówno jak palenie świateł na grobach.

Ofiary dla zmarłych, mają podwójny charakter: raz przebłaganie dusz nieboszczyków i pozbycie się ich nawiedzin i trapienia żywych, a z drugiej strony wyrażające pewną cześć dla nich są w użyciu u wielu ludów.

W okolicach Kongo robią w grobie otwór, prowadzący do ust zmarłego, i przez kanał ten leją pokarmy.

Starodawne zwyczaje te, jako przeżytki, pozostały i dotrwały do ostatnich czasów.

Bardzo ciekawym jest fakt, podany przez Saint-Foix, który żył za czasów Ludwika XIV i zostawił opis przedpogrzebowych obrzędów, sprawowanych po śmierci króla przez dwa tygodnie przed pogrzebem, podczas gdy podobizna królewska, z wosku, leżała na wspaniałem łożu. Obsługiwano go z całym ceremoniałem, nakrywano stół, ochmistrz dworu wręczał serwetę najdostojniejszemu z panów, aby ten ją podał królowi, duchowny błogosławił dania [1]) miednicę z wodą stawiano przy fotelu królewskim, napoje podawano w zwykłym porządku i modlitwę odmawiano jak zawsze, dodając tylko do niej *De profundis*.

Hiszpanie po dziś dzień przynoszą na grób osoby ukochanej, w rocznicę jej śmierci, chleb i wino.

W Rossyi wyprawiają ucztę pogrzebową, jedną dla żebraków, drugą dla przyjaciół i duchowieństwa.

Czas oznaczony na owe święta zmarłych jest rozmaity, najczęściej bywa jednak w związku z porą jesienną lub na początku wiosny.

Karenowie składają doroczne ofiary w grudniu, czyli w „miesiącu cieniów.“

Murzyni afrykańscy obchodzą święto zmarłych po zbiorach; na wyspie Haiti zanoszą jedzenie na groby zmarłych w końcu roku.

Rzymskie Feralia i Lemuralia obchodzono w lutym i w maju.

Wyznawcy Zoroastra wyprawiają uczty dla zmarłych krewnych w ostatnich dniach roku.

Zwyczaj stawiania krzeseł w wigilję św. Jana dla zmarłych krewnych, istniał w Europie do końca siedemnastego wieku.

Słowianie stawiali na wiosnę posiłek na grobach zmarłych.

---

[1]) Taylor. „Cywilizacya pierwotna.“ T. I, II str. 30.

Bulgarowie spożywają w kwietną niedzielę ucztę na cmentarzu, pozostawiając resztki na grobach krewnych, którzy nocą przychodzą się posilić.

U Rusinów odbywają się jeszcze „dziady". Wyższe klasy zamieniły ten zwyczaj na modlitwy, odmawiane za zmarłych i na jałmużnę rozdawaną ubogim.

Ale lud „zawodzi" jeszcze na mogiłach, kładzie na nich chusteczki i składa w nich pierniki, jaja, pierogi z serem, a nawet wódkę. Po ukończeniu zawodzenia, każdy, wspominając zmarłego, zjada zastawione dla niego ofiary. Św. Odilon, opat kluniacki, ustanowił przy końcu X-go stulecia obchód dnia Zadusznego na 2 listopada.

Odtąd dzień ten stanowi jeden z najbardziej wzruszających momentów w życiu każdego narodu, jako tradycyonalny, uświęcony zwyczajem dzień uczczenia drogich nam zmarłych, budzący corocznie w pamięci naszej imiona tych, którzy zasłużyli się krajowi i społeczeństwu, lub w sercu naszem niezatarte zostawili wspomnienie...

We Włoszech w dzień ten jedzą i piją na cześć zmarłych, a czaszki i kościotrupy z cukru lub ciasta stanowią wymowną dziecinną zabawkę.

W Tyrolu biedne dusze, które w ową porę uwolnione są na noc z czyścowych ogni, przychodzą do domów i na trzonie smarują sobie rany tłuszczem, topionym ze świec zadusznych.

W Bretanii wieczorem tłumy płyną na cmentarz, klękają na mogiłach, napełniając wodą święconą wydrążenia kamieni grobowych, czasami też polewając je mlekiem.

Dzwony kościelne dźwięczą przez noc całą, procesye chodzą wokoło, błogosławiąc groby, a po domach ze stołów nie zdejmują obrusów, gdyż należy zastawić wieczerzę dla dusz, które przyjdą. Nie trzeba też gasić ognia, aby dusze mogły się ogrzać.

Wreszcie, gdy miasteczko zasypia, pode drzwiami chat rozlega się śpiew płaczliwy: to dusze, które pożyczyły głosów od ubogich w parafii, proszą żywych o modlitwę za siebie.

Takim jest na szerokim świecie, u różnych ludów, w różnych czasach ten kult zmarłych, jeden z najpiękniejszych przeżytków tradycyi dawnych.

W dzień, ten dziwny, nieokreślony nastrój ogarnia świat; jakieś tajemne, zda się, nocną porą, snują się postacie, niby mgły wloką się nad cmentarnemi, nagiemi już drzewami; szelesty ciche płyną nad ziemią i może z niemi unoszą się nad uśpionemi siedzibami ludzkiemi orszaki tych, co na tej ziemi kiedyś, jak my, żyli, pracowali, kochali i — cierpieli.....

E...., Przyjaciel „Pracy".

Poznań, w dzień Zaduszny.



Zaduszki.



I.

Przyszło to na świat boży w zimie. Ojca wtedy w domu nie było. Na zarobku był w lesie, drzewa spuszczał.

Gdy wieść dobra po wsi się rozniosła, zebrało się w izbie bab sporo, i jako to zwykle bywa, doglądały chorej i dziecka, radziły i rajcowały, i różne wróżby sobie wypowiadały.

Matusowa, choć chora, nie zapomniała do karczmy posłać, aby gości uraczyć i za dobre słowa im się wywdzięczyć. Flaszka rychło się opróżniła; ale baby na grzeczności się znały, i nie odeszły zaraz, lecz poczęstunek sumiennie odsiedziały.

Na pogawędce tej zmierzch ich zaszedł.

O tej porze zwykł Matus, który o niczem nie wiedział, a nawet zdarzenia tego później się spodziewał, wracać z boru do domu.

Wraca też sobie tego dnia, jak zwykle, krokiem średnim, pochylony naprzód, skurczony nieco przed mrozem w swoim kożuchu, aż tu na samym do wsi wstępie wieść go spotyka.

— Matusie! słyszycie? — woła ktoś.

Matus ogląda się. To kowalka tak woła.

— No? — zapytuje.

— A to wam się dzieucha urodziła.

— Co wy gadacie?

— Jak żywo!

— I dzieucha! wiecie pewno?

— Wiem, bom widziała.

Jak Matus nie puści się kłusem, jak nie zacznie śniegiem bryzgać na drogę, tak się nie oparł aż w swojej chałupie.

Tu hałas powszechny powitał go od samego progu.

On nic, jeno wprost do łóżka, i wyjął z pod pierzyny małe, czerwone, szmatami otulone dziecko.

Przyglądał mu się przez chwilę, w oczach dwie łzy mu zabłysły i szepnął radośnie:

— Ślicności!

Baby dogadywać zaczęły.

— Jużci, jużci, że piękne. Będzie dzieucyna, jak malowanie.

Aż jedna rozsądniejsza rzecze:

— Puśćcie, Matusie, bo wprost ze dworu przychodzicie, to możecie zaziębić. Rozbiercie się i ugrzejcie.

I chciała mu wyjąć z rąk dziecko.

Ale Matus nie puścił odrazu, lecz pierwej jeszcze swoje wąsy pokryte lodem i usta przycisnął do malutkiego policzka.

Pierwsze to było u Matusów dziecko. Nie dziw, że spotykali je jako radość niezwykłą. Pobrali się już od lat kilku i dotychczas jakoś, mimo że błogosławił im Pan Bóg na dobytku i na urodzajach w tym jednym względzie jeno z błogosławieństwem się spóźniał.

Myśleli Matusowie o dzieciach, myśleli często i wspominali nawet często. U chłopów, wiadoma rzecz, dzieci to dobytek. Jest jedno — można gęsi chować, pierze mieć i sprzedać żydowi jeszcze. Jest dwoje — to już i z krową niema kłopotu, a przy krowie to i świński się uchowają.

Im więcej, tem lepiej. A już to w żniwa i przy kopaniu kartofli, to ręce, choćby i dziecięce, są nieocenione. Bo to nieraz i zapłacić chciałbyś, a tu ludzi i za gotowe pieniądze nie dostaniesz.

Mówili to sobie Matusowie, ale w myśli każde powiadało inaczej. Nie o ten dobytek im szło, ani o pasanie gęsi, ani o żniwa, jeno o tę potrzebę serca ludzkiego, jaka i w prostaczych piersiach mieszka często, o tę potrzebę kochania i przywiązania się do kogoś.

Urodziło im się wreszcie. Nie dziw, że kontenci byli bardzo.

Dziewuchę ochrzcono i imię jej dano Agnieszka, bo imię to sama sobie na świat przyniosła.

Od młodych lat było to roztropne i przytem figlarne maleństwo. Mówić się nauczyło prędko na podziw, a z fartuchem matczynym umiało różne figle pokazywać.

To się bywało pokaże tatulowi i buzię nadstawi, jakby mówiło: „Na, całuj“, a jak Matus do niej, to ona pod fartuch. To cała się fartuchem nakryje i jeno kawałątko głowy wyścibi z jednem wesołem, niebieskiem oczkiem.

A szczebioce sobie, a gada i gada, chwili spokoju w izbie niema. Jak nie do ojca, nie do matki, to gada do stołka, albo do okna, albo wreszcie sama do siebie.

Gdy miała cztery latka, to ją matula raz do kościołka zabrała. Obracało to zaciekawione oczka na wszystkie strony, a gdy zaśpiewali na chórze i zagrali na organach, to słuchało spokojnie i pobożnie, jakby dojrzała jaka osoba. Potem zaś w domu bawiła się w kościół. Składała rączki, klękała i śpiewała coś, czego nikt zrozumieć nie mògł, a i ona sama pewno nie rozumiała.

Taka to już natura widać była, jak to mówią, miła sobie, miła ludziom i miła Bogu.

Gdy podrosła do lat dziesięciu, wyręczyć już umiała matkę w ugotowaniu obiadu. Sama kozikiem obrała kartofle, nastawiła na ogień sagan z wodą i zasypała zupę kaszą, gdy było potrzeba.

Do pracy sama się rwała. Ani Matus, ani Matusowa, choć ciągle mówili sobie, że im lżej jest z Jagusią, wcale jej do roboty nie naglili. Matusowej mile na sercu było, gdy dzieweczka szczebiotała sobie, albo śpiewała; Matus mówił, że tyle jeno radości na świecie, co na dziewczynę tę się napatrzy.

Jedyną była, jedyną pozostała.

Więcej już nie podobało się Panu Bogu na rodzinę Matusów spuścić łaski swojej. To też Jaguś zabrała sobie całe serce i matczyne i ojcowskie.

A tak ją miłowali, że broń Boże obawiali się, aby przy pracy jakiej co złego jej nie spotkało. Skaleczyć się mogła, albo krzywdę sobie jaką wyrządzić.

Nawet krowy jej popaść nie bardzo dawali.

— Eh! zamałaś

A po trzynastu znowu powiadali

— Zadużaś!

Sąsiadki nieraz na to krzywem okiem patrzyły i powiadały Matusowej:

— Ej! moja kumo! zanadto wy dziuchę swoję pieścicie. Patrzajta, aby źle nie było.

I różne przykłady stawiali Matusowej, jako z jedynaków najgorsze zawdy wyrastały łotry.

Ale Matusowa, choć się i zastanawiała na chwilę nad temi gadaniami babskiemi, myślała sobie:

— Zaś to miałoby grzechem być, że miłuję moję jedynaczkę? Przecież miłować Pan Bóg każe, i ksiądz na ambonie o tem wciąż głosi; i gniewa się nawet, że się ludzie za mało właśnie miłują.

A gdy jeszcze spojrzała na swoją Jagnę, to pomyślała sobie, iż być nie może, aby takie dobre, poczciwe, przylepne dziewczę, na co złego mogło wyrosnąć. Toć tego i pieszczotami zepsuć nie można.

Mówi się jej ustawicznie:

— Nie bierz, nie rób, nie rusz.

A ona jeno wygląda, aby w czem matulę wyręczyć, aby coś koło krowy, albo domu, albo pola zrobić.

I ani Matus, ani Matusowa niczem nie powstrzymywali folgi swojej w kochaniu Jagusi, jedynasi.

II.

Gdy Jaguś dorastała do lat szesnastu, ciężką chwilę przyszło przenieść i jej i matce.

Pewnego dnia Matus zachorował i nie podniósł się z łóżka, a w kilka dni wywieźli go z onej chaty na cmentarz.

Jaguś płakała bardzo, ale tydzień za tygodniem stawał pomiędzy nią a tą straszną chwilą ojcowej śmierci, i chwila ta coraz dalszą, coraz dawniejszą, coraz mniej bolącą się stawała.

Matusowa przecież nie zniosła śmierci tej tak łatwo. U dziewczyny rozwijało się dopiero życie, ale u kobiety już ono nic nowego dać jej nie mogło, okrom chyba niespodzianych zawodów i boleści, jak ta oto śmierć Matusa.

Po chłopie została wieczna pustka w Matusowej izbie i w duszy jego żony.

Na pocieszenie pozostała Matusowej Jaguś.

Dorosło to już, lat szesnaście ukończyło, a nawet i na siedemnasty roczek dobrze zarwało. Śliczna zaś była, rumiana, wesoła, chętna do zbytków, do rozmowy, do tańca; to też chłopcy za nią latali. Dziewuchy także lubiły ją, bo nie była zawistna, i jak dobre słowa sypały się z jej ust, niby grad na wiosnę, tak złego słowa o kim nie dokupić się u niej.

Że zaś była jedynaczką i całe sześć morgów Matusowego gruntu, razem z inwentarzem i wcale porządną chałupą, na nią jednę przypaść miało, przeto ten i ów na lataniu nie kończył, lecz swaty słał do starej Matusowej.

— Masz do kogo przekonanie — pytała matka Jagusi.

Odpowiadała, że ten jej się podoba, i ten, i tamten, ot, wszyscy jej się podobają. Ten, bo ładnie tańczy; inny, bo ładnie śpiewa; jeszcze inny znowu, że jest taki pokorny i cichy. Ale jak wspominano jej o zamążpójściu, to myślała sobie:

— Jak za Kazika pójdę, to Józefkowi będzie żal, a jak za Józefka, to Kazikowi; a co jeszcze by powiedział Mikołajek, i Walek i Antek?...

Nie, nie, matuś — odpowiadała — później, jeszcze mi nie pora.

Matula sama rada była temu; oddałaby ją, gdyby sama pójść chciała, ale póki nie chce sama, to nie da jej zabrać obcemu. A obcy to kto wie, jaki będzie dla jej ślicznotki, dla tego malowania jedynego, umiłowanego.

Aż oto w tym stanie przyszło na Matusową tak straszne nieszczęście, że stara nie myślała nigdy, aby takie wielkie kary Pan Bóg na ludzi kiedykolwiek zsyłał.

A kara ta na nią zwalić się właśnie miała.

Było to tak:

We wsi był zarząd gminny, gdzie codzień siadywał wójt i siadywał pisarz. Wójt był człek bogaty, ale prosty i ledwie podpisać się umiał; kontent zaś z tej umiejętności, podpisywał wszystkie papiery, nie patrząc i nie rozumiejąc, co w nich stoi.

Pisarz zaś, człowiek edukowany był, ale chytry. Myśli on tedy sobie: „Na co ja mam dochody wójtowskie wójtowi oddawać, kiedy sam mogę je capnąć?“ I umyślił sobie, ażeby jego wójtem obrali.

Na to przecież trzeba mieć grunt własny, być gospodarzem. Pisarz gruntu nie miał, gospodarzem nie był, ale był przekonany, że z taką dużą czupryną i takim ładnym wąsem, jaki nosił, gospodarzem łatwo zostanie.

Jaguś pisarzowi oddawna wpadła w oko.

Gdy spostrzegł ją idącą przez pole, albo widział modlącą się w kościele, myślał sobie:

— „Cukierniczek! cacuchno! i zkąd to się takie wzięło w zwykłej chałupie chłopskiej“.

Pan pisarz młodym nie był bardzo, ale jak sam o sobie mniemał, dobrze się trzymał. Serce zaś miał widocznie gorące, mimo że studziły go odkosze, jakie suto los mu sypał.

Gorące to serce uderzyło tym razem do Jagusi.

Że zaś pisarz miał w sobie wiele arystokratycznej fantazyi (na harmonii nawet grywał) i wiele już był głupstw w życiu, gwoli onej fantazyi, popełnił, przeto przyszła mu pewnego razu taka myśl do głowy:

— „A możeby się ożenić z Jagusią?“

Wahał się trochę, ale niedługo.

„I grunt mieć będę — myśli sobie i śliczną dziewczynę, którą jak przebiorę po miejsku, ani kto pozna, że to chłopka, no, i ma się rozumieć — wójtowstwo“.

Zaczął tedy okazyi do zbliżenia się szukać i zaglądać do chaty Matusowej.

Jaguś zrazu nie mogła zrozumieć, czego taka wielka osoba we wsi, jak pan pisarz, chcieć od niej może?

Później, gdy uścisnął ją raz i drugi ukradkiem, zaczęła go unikać, myśląc, że ma on coś złego na myśli.

Spostrzegł to pisarz, i raz przyłapawszy ją, rzekł wprost:

— Jaguś! A nie chciałabyś ty być panią pisarzową?

Wtedy dziewczyna oczy szeroko otworzyła, i dziwnie jej się zrobiło, i żal, że go o brzydkie rzeczy posądzała.

Nie unikała więc już pisarza, i odtąd często się spotykali. On szeptał jej do ucha słowa czułe, tak czułe, jakich nigdy nie słyszała, a które grały jej w duszy długo, długo jeszcze potem. Mówił, że Jagusia słonkiem jest dla niego, że żyćby bez niej nie potrafił, że — mój Boże, co za straszne myśli! — utopi się w rzecze, gdy ona wyjdzie za innego, albo lepiej jeszcze, w dzień ślubu powiesi się w progu ich chałupy.

Kwiaty jej dawał, i wiersze różne z książki czytał.

Trwało to wszystko dwa tygodnie.

— „Dosyć już tego“, — pomyślał sobie pisarz, — „trzeba teraz do działania przystąpić. Ale dziewczyna, choć głupia, bo głupia, ale niczego, doprawdy niczego“.

I zbierał się do Matusowej pójść, aby interes ukończyć. Ale nie sporo mu było. Namyśliwszy się, spostrzegł, że żądza wójtowego stanowiska zadaleko go zaprowadziła.

Żenić się z chłopką? on, który był... nie był wprawdzie szlachcicem, ale to jedynie z winy tych głupich urządzeń społecznych. Nie, nie.. to bzdurstwo. Zagalopował się, zagalopował...

Ale bo to i ta Jaguś, to rozum i delikatność miała wcale nie chłopskie. A jaka śliczna, jakie kolory, jakie ciało na ramionach, na szyi!...

Trochę się w niej nawet pisarz zadurzył, i tak oto jedno z drugiem połączywszy: chęć na wójtowstwo i chęć na dziewczynę — o mało co głupstwa nie palnął. A tożby się ubrał, ożeniwszy się z prostą chłopką!

Ledwie zaś opamiętał się, aż tu szczęście samo mu w ręce lezie. Swatać go zaczynają z panną podleśną, która wprawdzie czwartą już wiosnę dosyć dawno rozpoczęła, ale za którą daje podleśny trochę *gotiu* i osiem morgów gruntu.

Jagusia tymczasem duszę utopiła zupełnie w tej dla pisarza miłości. Już jej ani zabawy nie nęcą w karczmie, ani chłopcy ją cokolwiek obchodzą.

O jednym tylko myśli, o jednym marzy, o jednym śni.

Matusowa nic zrozumieć nie może. Dziewczyna taka wesoła, zrobiła się nagle poważna i mało gadająca.

— Co ci to Jaguś? — pyta.

— Nic, matuś, — odpowiada dziewczyna, tylko matkę ściska i całuje.

Aż potem oto w jeden dzień jeszcze większa w niej zmiana. Posmutniała córuś, ale posmutniała tak bardzo, jakby duszę jej wyjęli. Nie mówi nic, nie odpowiada wcale na zapytania, chodzi z pochyloną głową i oczyma, Bóg wie gdzie patrzącemi. Tylko kiedy niekiedy pociera ręką głowę i brewki marszczy.

I jeden dzień mija, i drugi, i trzeci.

Czwartego dnia widziano Jaguś — jak potem baby rozpowiadały po wsi, — iż pod pazuchą kurę niosła i szła wprost do chałupy znanej czarownicy we wsi, Żyzkowej, która umie mleko krowom odbierać i trucizną handluje.

Wieczorem zaś tego dnia krzyk straszny z chałupy Matusowej wyszedł i po wsi całej się rozniósł.

Jaguś się otruła.

III.

Było to wielkie we wsi zdarzenie. W każdej chałupie długo o tem gadano, a jeżeli gdzie, czy na targu, kobiety wiejskie zeszły się z sobą, to już sypały się różne domysły i historye, a wszystkie w śmierci Jagusi brały początek.

Ksiądz długie o tem miał kazanie, a potem jeszcze kilka razy z ambony i w rozmowach z włościanami o grzesznicy tej wspominał

Powoli wszakże ucichały wszelkie gadania, aż i ucichły niemal zupełnie.

Stara Matusowa pozostała tedy sierotą na świecie.

Gdy pierwsza boleść przeminęła, a pierwsze łzy obeschły, wzięła się podawnemu do gospodarstwa i podawnemu parobka pilnowała, i do krów chodziła, i o porządek wszelki dbała.

Mniej jednak skrzętną była, i nie dbała bardzo o to, czy deszcz zrosi pożęte żyto, albo mróz chwyci kartofel w ziemi.

Lat jej przybywało, ale nie zdjęły one ciężaru strasznego, jakim na duszę biednej kobieciny upadła śmierć jej jedynaczki, śmierć straszna, grzeszna — z własnej ręki.

A nie myślała Matusowa o tem, że smutno staruszce samej żyć na świecie, nie miała żalu do Jagusi, że porzuciła tu ją samą. Matusowa jednej myśli przecierpieć i pozbyć się nie mogła, że jedynaczka jej tam, na tamtym świecie, straszne męki cierpi. I czy mrok na ziemię pada, czy światło nastaje, czy wiosna zielenią, czy zima białym puchem pola okrywa, w doli biednej, kochanej duszyczki córuni niema żadnej zmiany, żadnej ulgi, żadnej poprawy...

Matusowa pobożną się stała, jak żadna na wsi. A wszystkie jej modły i prośby szły za „odkupienie śmiertelnym splamionej grzechem“. Msze zakupowała, jałmużny rozdawała, wszystko na intencyą: *Przemienienia Pańskiego*.

Żyła ciągle z myślą o cierpieniach biednej, o cierpieniach strasznych, które ksiądz nieraz opowiadał i w książkach do nabożeństwa były wydrukowane. Jednego dnia tylko oczekiwała z rozkoszą, jeden dzień macierzyńskiemu jej sercu ulgę sprawiał.

Był to dzień Zaduszny.

W tym jednym dniu, jak wiadomo, dusze męki cierpiące, oswobodzone są z katuszy, i na ziemię wracać mogą, rodzinne strony zwiedzić, do chat niewidzialne same i niedosłyszalne, a widzące wszystko i słyszące zajrzeć, po polach wioski rodzinnej przelecieć, zobaczyć jakie zmiany zaszły, kto się postarzał, kto się ożenił...

Wszystko to im wolno.

I córka przed matką, i matka przed córką, i syn przed ojcem, i ojciec przed synem stanąć może, i nietylko chwile dawne wspomnieć, ale miejsca dawne znajome obaczyć, głosy dawne znajome usłyszeć i błogosławić jedyny a wielki i święty skarb, jakim żyjący umarłych obdarzyć mogą — pamięć...

Wszystko to im wolno... Jeno gdy północ na zegarach uderzy, porzucić muszą natychmiast rodzinne chaty i pola, i wracać do swej doli okropnej.

Rok cały Matusowa dnia tego oczekiwała.

Gdy nadszedł, w twarz jej starą młodości nieco wsiąkało, z oczu schodziła ponurość, i pozostawiała miejsce smutkowi łagodnemu a cichemu. Na ławie dzień cały przepędzała nieruchomo...

— Jaguś tu jest pewno — myślała, — może przy piecu stoi, może na ławce siedzi, a może tu klęczy przy nogach, jak to często robiła, gdym włosy jej rozczesywała.

Przemówić może chce do mnie, jeno że nie wolno jej; może poprosić chce, abym modliła się za nią więcej jeszcze, abym drugie tyle mszy zakupiła... Oj, Jaguś ty, Jaguś moja! cożeś zrobiła nieszczęsna!..“

Matusowa modliła się serdecznie, i w duszy nadzieją żyła, że modły jej przebłagają Boga, i że oswobodzi biedną duszyczkę od mąk...

I płynął rok za rokiem, i nic tej nadziei nie osłabiło, i nic nie przytępiło jej pobożności.

Aż oto pewnego roku, w dzień Zaduszny pod wieczór, jakieś zmęczenie opadło Matusową i powieki jej opadły na oczy mimowoli, niewiadomo kiedy.

I nagle widzenie przed nią stanęło...

Twarzyczka jakaś, mizerna, zbiedzona, wylękła, i rączki otulające piersi, i oczy w Matusową utkwione, oczy tak dobre,

tak znane, tak sołdkie... To Jaguś! biedna Jaguś! Ogień czerwony ją całą obejmuje, a ona otwiera usta, ale mówić nic nie może, jeno błaga oczyma, modli się o coś wzrokiem...

Chwila jedna, a to widzenie senne zmienia się.

...Matusowa pole widzi jakieś, i płot czarny, i wierzbę rosochatą, a pod wierzbą tą Jaguś jej najdroższa siedzi. Nie patrzy już z taką prośbą, od której serce na lód się ścina, ale wystraszone niebożątko, wiatrem i zimnem dręczone, spogląda w dal gdzieś, jakby ztamtąd lepszych oczekiwało losów...

I raz jeszcze widzenie odmienia kształty... I znowu Matusowa Jaguś swoją widzi, ale jakaż ona inna, niż przed chwilą. Po powietrzu leci, jak anioł, mgła jedna ją unosi coraz wyżej, coraz wyżej od ziemi... Ręce jej niby ku lepszemu światu wyciągnięte, a oczy ku ziemi zwrócone, jakby z podzięką, iż ztamtąd ulga przyszła...

Rozbudziła się Matusowa, oczy przetarła, rozejrzała się w około.

Niema nic, nikogo... pustka jeno i cisza, którą w tej chwili bicie zegaru przerwało wydzwaniając północ.

Matusowa rzuciła się na kolana przed obrazami.

Zdawało jej się, że Pan Bóg objawienie na nią spuścił, że modły jej wysłuchane zostały i że teraz Jaguś nie powróci już z innemi duszami na miejsce mąk dawnych, ale że dobrotliwy Stwórca, litością i modłami matki poruszony, do innego, lepszego świata duszę dziewczyny przeznaczył... *W. K—cz.*

Deszcz liści.

Pada i pada deszcz krwawo-złoty,
Milionem kropel szeleszcze;
Liście strącone, liście-sieroty
Sypią się jeszcze i jeszcze...

Kędy dosięgnie sucha ulewa,
Tam ziemia rdzawo się plami;
Rzekłbyś, że bolem targane drzewa
Krwawemi płaczą wciąż łzami.

Już po zachwytach, słońcu i śpiewie!
Szczęknęła swą kosą zima...
Na drzewie marzeń, na życia drzewie
Liść żaden już się nie trzyma...

Ach! nigdy ziemia nie będzie syta
Ciał martwych i martwych liści?...
Zawszeż grobami ma być okryta,
Bez celu i bez korzyści?...

Z wiosną zadzwoni w świeżej gęstwinie
Słowiczych piosenek echo —
Ale dla liścia, co dzisiaj ginie,
Jakąż to będzie pociechą?...

Pada i pada deszcz krwawo-złoty,
Milionem kropel szeleszcze;
Liście strącone, liście-sieroty
Sypią się jeszcze i jeszcze...

Wiktor Gomulicki.



Mara.

(W dzień zaduszny.)



Umarłem.

Sam nie wiem, jak się to stało. Wiem tylko, że umarłem.

Cierpień żadnych nie pamiętam.

Czy to było wskutek jakiej choroby, a może nagłego wypadku — tego nie wiem; dość... że umarłem i dopiero wtedy całą świadomość odzyskałem, kiedy wszyscy zdecydowali, że już nie istnieję i że z listy żyjących jestem wykreślony.

Lecz ja nie tak łatwo z wyrokiem tym chciałem się pogodzić. Wierzyłem im najzupełniej, ale wyrzec się nagle wszystkich przywilejów życia, dać się zasypać ziemią głęboko, nie módz się z pod tej warstwy już nigdy, nigdy wydostać, być tam odosobnionym i przykutym do dna swej trumny, gdy inni wszystkich uciech życia używają? Nie! Przeciwko temu buntowałem się i postanowiłem walczyć.

Nie wiem, czy ciało moje na marach okazywało tę walkę.

Być może, że serca matek tak nieoddzielne są od naszych, iż z łatwością zgadują takie niepokoje. Serce mojej matki widać je przeczuło.

Nikt o tem nie wątpił, że umarłem i matka moja, jak i reszta otoczenia, była o tem przekonana. Ja sam również w to silnie wierzyłem i tylko przeciwko samym konsekwencyom śmierci bunt we mnie wybuchał.

Nie słyszałem, żeby kto nad mojem ciałem rozpaczał. Wszyscy uznali moją śmierć za rzecz naturalną, za fakt spełniony, niejako konieczny, i robili niezbędne przygotowania do pogrzebu.

Nawet w matce nie dostrzegłem łez i rozpaczy. Być może, że nie chciała mnie przez to czynić jeszcze więcej nieszczęśliwym.

Przeciwnie. Z dobrocią i słodyczą ludzi głęboko wierzących i schylających czoło wobec wyroków Bożych, zaczęła do mnie mówić głosem przyciszonym, przekonywającym i godzącym.

Za życia wyobrażałem sobie śmierć, jako moment straszny. Jedna chwila, ostatni przebłysk świadomości, a potem nagle straszna noc bez końca. Nagle wielkie Nic. Wielkie. Straszne. Absolutne!

Teraz przekonywam się, że byłem w błędzie. Wspomnienia z życia nietłoczą mi się wcale; prawie zapomniałem, że niegdyś żyłem. Cierpień, chwil przedśmiertnych, ani konania wcale nie pamiętam, a za to całą świadomość posiadam obecnego mego stanu nowego i zupełnie odmiennego. Nie mogę się tylko jeszcze oswoić z nowymi warunkami mego bytu.

Dawniej nie wierzyłem w życie pozagrobowe. Ostatnie tchnienie i ostatnia chwila świadomości i istnienia łączyły się nierozdzielnie w mojem pojęciu. Teraz przekonywam się, że umarłem, a jednak istnieję. Istnieję wprawdzie, jako umarły, ale jest to dalszy ciąg mego istnienia nie tylko fizycznego, lecz i duchowego.

Słowa matki starają się rozproszyć me obawy i wątpliwości.

Tak, na wzór Chrystusa obleką moje ciało w białą, aż do ziemi szatę, stopy tylko zostaną bose, i to będzie mój strój śmierci. Ale jeszcze nie wszystkie nici zerwę ze światem. Owiną mnie nagle w czarny całun, i jeśli zapragnę zajrzeć do kątów rodzinnych, to pod jego osłoną zaledwo, jako cień lekki wydam się żywym, pośród których zechcę, jako gość powrócić. Wprawdzie zaniosą mnie na cmentarz i złożą do grobu, lecz nie zakopią głęboko. Wsuną me ciało do wgłębienia w pochyłej ziemi zrobionego i tylko zlekka nią przysłonią. Tak lekko, że świat cały z mej kryjówki będę widział, że nawet powietrze, już dziś dla mnie zbyteczne, dopływać będzie obficie.

„Nie bój się, mój synu! Nie idziesz tam niepowrotnie. Nic nie uczynią z tobą wbrew twojej woli. Umarłeś, więc miejsce twoje wśród umarłych, ale jeśli zapragniesz, możesz powrócić jeszcze do żywych, do tych ludzi i miejsc, które ukochałeś.“

I już przestałem się trwożyć, przestał się duch mój buntować, bo skoro jeszcze nie wszystko stracone, można się pogodzić ze swym losem.

Zaniesiono mnie do miasta umarłych.

Ubranego w długą białą koszulę, z bosemi nogami, złożono mię do mogiły. Czarny całun owijał mnie zlekka. Nie była to mogiła głęboka, dół pełen zimna i wilgoci, ale złożono mnie bez trumny, wprost na ziemi, we wklęsłości, jakby w boku osypu, z którego piasek wybierają. Nie było w tem nic strasznego. Zdawałoby się, żem się raczej dobrowolnie w to zagłębienie przed burzą ukrył, niż że mnie w niem pochowano. Otwór przykryto cienką warstewką zie-

mi, tak cienką, że widziałem wszystko z mego ukrycia. Nie było mi ani twardo, ani zimno. Leżałem — bom umarł, więc powinno się było leżeć, ale bez buntu i cienia protestu.

* * *

A gdy noc była ku końcowi i srebrne smugi księżyca rozlały się chwiejnem światłem wśród nagrobków i drzew cmentarnych, zapragnąłem skorzystać z tej swobody, o jakiej mnie matka zapewniała, i wydostałem się ze swego schronienia.

Żal straconego życia, pragnienie ujrzenia rodzinnego domu i znalezienia się wśród swoich na nowo wybuchły w mej piersi.

Dążyłem po ścieżkach cmentarnych ku wyjściu. Tu i owdzie dostrzegałem podobne do mnie białe, pół nikłe postacie; inni nie opuszczali swych mogił i spoczywali, w nich jakby we śnie pogrążeni.

Wtem po drodze mojej przesunęła się biała postać młodej kobiety. Anielska, łagodna słodkość oblicza i długa szata biała rozpływały się jak mgła przejrzysta w bladych promieniach księżyca.

Spotkaliśmy się milczący. Może dlatego, że umarli nie mówią, a może — że i bez mowy myśli swe odgadują. W pierwszej chwili pragnąłem się zbliżyć. Ona utkwiła we mnie swój wzrok smutny. Lecz nie! Nie chcę jej, ucieknę od niej! Wszak ona jest tylko *umarłą!* Ja chcę do świata, pośród żywych, pośród swoich! I sunąłem pośpiesznie śród mogił i krzyżów ku bramie cmentarnej.

Tu rozpoczynał się świat inny, nowy, ten, w którym jeszcze wczoraj żyłem. Dziś — cmentarz jest moim światem, i jeśli mam jeszcze prawo wracać do dawnego, to jako cień tylko.

Z jakąż gorączką dążyłem znów do tego domu, gdzie zostawiłem swoich!

Przebywałem las gęsty. Tu śród samotności czułem się jeszcze swobodnie, lecz las się skończył.

Droga, wysadzona rozłożystemi topolami, prowadziła przez pola ku domowi. Zorane zagony, mokre i błotniste od tającego śniegu, przypomniały mi, że to są pierwsze dni wiosny i roztopów. Zapomniałem zupełnie o tem w swojem schronieniu cmentarnem, gdzie ani gorąco, ani zimno, ani wilgoć nie istniały wcale. Nie istniały — albo też, korzystając z przywilejów umarłych nie odczuwało się ich wcale. Tu, śród żywych, nanowo natura weszła w swe prawa, i nawet dla mnie nie było wyjątku. Sunąłem więc drogą błotnistą, mokrą i zimną, i choć me bose stopy nie dotykały ziemi, całą przykrość tych warunków odczuwałem. Ludzie żywi dążyli już do pracy, pełni troski, przygnieceni ciężarem życia i niepewnością jutra. Szli, grzęznąć w błocie i wcale nie dostrzegając mnie, sunącego ostrożnie z brzegu drogi za rzędem topól rozłożystych.

Już byłem tuż przy domu.

Daleko za mną majaczyła ciemna smuga lasu. Czarne, rozległe pola zorane przebyłem prawie w zupełności. Miałem teraz przed sobą sztachety ogrodu, a pośrodku, przez drzewa i krzewy bezlistne, przeglądały białe mury domu.

Szary wilgotny ranek nie obudził w nim jeszcze nikogo. Okna czarne patrzały na mnie bezmyślnie, jakby nie poznając swego dawnego mieszkańca.

Nikt na mnie nie czekał, nikt się mnie nie spodziewał.

I nagle poczułem całą różnicę jaka jest między mną — mną umarłym a wszystkimi — żywymi. Poczułem, że żadna nić nas już połączyć nie może, i że zawsze będę intruzem śród tych kątów, gdzie całe życie moje minęło.

Gdym stanął przed tym martwym domem, zamkniętym naokół wysokiemi sztachetami, wydał mi się on odstraszającym, pustym grobem, a naokół niego tylko zimne, czarne błoto i nędza ludzka, i pomyślałem o tym cmentarzu, gdzie w drżącem świetle księżyca przesuwały się cicho i spokojnie białe duchy jego mieszkańców. Żadne cierpienie nie istniało dla nich.

I zamyślony, pełen zwątpienia, nie pragnąłem już śród żywych pozostać. Przestałem się buntować i godziłem się z losem, że skorom umarł, to już nie śród żywych jest miejsce moje. I dawszy wolny bieg myślom, zapomniałem się ukrywać za topolami.

Wtem nagle dostrzegł mnie jakiś wyrostek. Dostrzegł szary, lekki cień, pod którym postać moja, dzięki całunowi, żywym się przedstawiała. Dostrzegł, i, ręką wskazując, począł krzyczeć:

„Mara! Mara! Mara!

Ludzie zaczęli przystawać, patrząc w kierunku ręki. Zaczęli napół z bojaźnią a pół ze wstrętem, wskazywać sobie lekki mój cień, wołając:

„Mara."

Tu i owdzie pies zawył w zagrodzie, a od lasu wiatr przyniósł przeciągłe kruków krakanie.

Ogłuszony krzykiem, poczułem się nagle zupełnie obcym, jakby rzuconym pośród najzawziętszych swych wrogów z którymi nic mnie nie łączy, a wszystko dzieli. Poczułem, że nie tylko jestem umarłym, ale nadto jestem trupem, trupem, budzącym odrazę, wstręt, trupem, który wczoraj był jeszcze żywym człowiekiem, ale z chwilą utraty siły odpornej, zwanej życiem, z dniem każdym staje się istotą, coraz bardziej tracącą formy i cechy ludzkie, coraz wstrętniejszą i okropniejszą, dopóki nie nabierze niezakłóconego spokoju i powagi szkieletu.

Jakże w takich warunkach przypuszczać, że nawet i najbliżsi nie odwrócą się odemnie ze wstrętem?

I zapragnąłem spokoju umarłych, zapragnąłem mojej własnej mogiły, tej, która tak straszną mi się wydała.

Zapragnąłem spokoju i majestatu śmierci.

Rzuciłem się do ucieczki, a za mną wciąż się jeszcze rozlegało:

„Mara! Mara! Mara!"

Ludzie wszyscy stawali na drodze szukając mnie oczyma i obawiając się, jakby jakiego dzikiego zwierza, który za chwilę ma się na nich rzucić.

Inni biegli nawet za mną, prześladując mnie krzykiem:

„Mara! Mara!"

Nie mogąc podążać drogą, pełną ludzi, rzuciłem się przez pola.

Już nie sunąłem się lekko w powietrzu, bose stopy moje zapadały za każdym krokiem w rozmiękłych, pełnych wody i śniegu zagonach. Zdawało mi się, że nigdy tej przestrzeni nie przebędę, że nigdy mego cichego schronienia nie dopadnę.

Wreszcie, zmęczony, zbryzgany wodą i błotem, ze stopami skostniałemi od zimna, znalazłem się w lesie. Mokre, zimne mchy i zeschłe zeszłoroczne liście wydały mi się prawie rozkoszą w tej ciszy, w której już nie widziałem ludzi żywych, i dokąd już nie dolatywały ich złowrogie okrzyki.

Przedzierałem się śród gąszczów, zatrzymywany przez kolczaste krzewy, lub rozpięte między gałęźmi pajęczyny. Krople rosy i deszczu gęsto je operliły, tworząc jakby korony z brylantów. Wyciągnąłem rękę, żeby zerwać tę sieć, zastępującą mi drogę. Pajęczyna drgnęła, lodowate krople padły mi, jak łzy na twarz i ręce, i ruch mój zatrzymał się w połowie. Miałżebym niszczyć wysiłki i pragnienia cudze jeszcze po śmierci? Miałżebym być tak okrutnym i bezlitośnym, jak ci żywi, którzy powracającego do nich pędzą przed sobą okrzykiem strachu i nienawiści:

„Mara!"

Nie!

Smierć powinna mnie była oczyścić z tych wad, jakie ludzi kalają.

I począłem ostrożnie okrążać każdą pajęczynę, każdą gałązkę i trawkę, wychylając się nieśmiało.

Zrozumiałem teraz, dlaczego widziałem w wielu mogiłach istoty, jakby śpiące snem głębokim, chociaż mogłyby równie, jak ja, ku żywym podążać. To byli ci pogodzeni ze swym losem i przeznaczeniem, ci rozczarowani, którzy nie pragnęli cofać tego, czego się nie cofa, wracać ztamtąd, zkąd nikt nie wraca.

Poczułem, że jeśli w pierwszej chwili po śmierci wszystko się we mnie burzyło przeciwko wykreśleniu mnie z koła żywych, jeśli słowa matki, obiecujące możność powrotu, uspokoiły ten bunt na chwilę, to teraz wracam tam całkiem dobrowolnie, ukojony i spokojny.

Legnę na tem miejscu, gdzie legli moi ojcowie i praojcowie, i jak oni, jak całe pokolenia, jak całe społeczeństwa ludzkie od początku świata, będę z coraz bierniejszym spokojem popadał w zanik stopniowy.

Stałem się marą i nią pozostanę aż do chwili ostatecznego zlania się mych szczątków z otaczającą naturą.

Antoni A.



Na cześć umarłym.

Suną się lata, jak wieczorni ptacy
W zachodnim słońca odblasku;
Klepsydra wieków, minione dni pracy
Marnem oznacza źdźbłem piasku.

Sypie swe ziarnka, nieustannie toczy
W mrowisko żyjących ludzi,
I na zamknięte już, zagasłych oczy
Spadając, snu ich nie budzi.

Śpią oni twardo, a z głową bez myśli,
Powieką, co łzy nie kryje,
Zalegli cicho, odkąd z domu wyszli,
Nie słyszą dzwonu, jak bije.

A piasek ziemi podłużne szczeliny
Wypełnia, wznosząc kurhany,
I z sykiem woła: „Powstaliście z gliny,
W proch się zmienicie rozchwiany.“

Wszak oni byli, jako my dziś jeszcze,
Do czynu skorzy i słowa,
Nim ich wyroków pochwyciły kleszcze,
Zastygła na ustach mowa.

I gdzież są teraz? Gdzie ta iskra boża,
W której człowiecza jest siła?
Kędy się wzniosła nad ich cierpień łoża?
Gdzie, w jaki przestwór się wzbiła?

Istnieją! Mili sercu i pamięci,
Choć od nas poszli w świat nowy;
Dlatego kościół „Dzień Zaduszny święci“,
Zwołując obchód grobowy.

Płyną przeczyste cichych modłów tchnienia,
Święte — jak miłość i wiara,
Szczere — jak spowiedź w duchu prawd sumienia,
Smutne — jak krzyża ofiara.

Skoroś nam, Panie, ukazał te zorze,
Śmierci dał życia rdzeń sprzeczny, —
Za zmarłych, Ciebie błagamy dziś, Boże,
Duszom spoczynek daj wieczny.

Marya Brożyna.



Z poboru.

(Wspomnienie w dzień zaduszny.)



..Ano i wzięli. Ciężko to tam było rzucać babę i dzieciaka, ale kiedy mus to mus. Poszedem.

Bez pierwsze dwa lata to jeszcze nic, młody byłem, humoru nie traciłem, ale na trzeci rok ćnić mi się już zaczęło okrutnie. Zapędzili nas kawał za Moskwę, rozlokowali w małem miasteczku; ciągle mustry i mustry, a dobrego słowa człowiek nie usłyszał. Zima pamiętam, była ciężka, chałupa zimna, wilgotna... i poszedłem do lazaretu.

Na wiosnę stanąłem do szeregu. Wtedy mnie zaczęto brać. Idziemy, panie drogą: naokoło pola zielone, ptactwo wesoło gada, wszystko raduje się i śmieje do słonka.

Naraz przypominam sobie Krępy: łąki, bór, chaty, każdy zagon jak żywy; bydło ryczy w polu, gdzieś, daleko cienko przyśpiewuje fujarka z wierzbiny i taka tęsknota drze za serce, że człowiek rady sobie dać nie może. Chłop przecież byłem, panie, jak dąb, a wróciłem nikiej tyka, tak ci mnie ta tęsknica zeżarła. Żeby nie to, że w jednym szeregu ze mną chodził z mojej wsi drugi, Antek, syn dworskiego włódarza, tobym zmarniał całkiem.

Chłop ci był ten Antek — do rany przyłóż, wesoły, żywy jak iskra, serdeczny. Ino czasem tak: śpiewa sobie, gwiżdże aż tu naraz odwróci się, ociera twarz rękawem, potem złapie mnie za szyję i woła:

— „Józiek, laboga, tęskno!“ Ano, bo i tęskno było, to prawda. Wszystko Moskale, po moskiewsku, słowa naszego tyle, cośmy do siebie zagadali, a służba ostra, wachmistrz surowy... obczyzna naokoło!

Z tym Antkiem na pół roku przed wysłużeniem zdarzyło się nieszczęście. Było to tak. Poszliśmy raz na manewry. Zapędzili nas w błota i kazali całą noc tam przesiedzieć. Wyleźliśmy przeziębnięci, ale odpoczynku nie było, bo ten niby nieprzyjaciel gonił nas.

Uciekaliśmy dzień cały, wieczorem w lesie mały odpoczynek nam dali i skoro świt znowu marsz. Idziemy, idziemy, uszliśmy już z pół mili, a mój Antek ani słowa. Tak się jakoś wlecze, głowę na dół spuścił, ino wzdycha i wzdycha. Myślę sobie coś go gryzie. Ano lepiej pytać nie będę, nie wytrzyma, to i powie:

Nie wytrzymałem ja. Pytam się:

— Antek, a co ci to?

A on patrzy na mnie, jeno łzy ma w oczach.

— Cóżeś ty? pytam znowu.

A jemu wargi zaczęły latać, i łzy kap, kap, kap....

— Józiek — mówi — wiesz ty, ja już nie wrócę.

— Zwarjowałeś, człowieku! mówię do niego. Dlaczegóżbyś nie miał wrócić, aboś to chory, czy co?

— Nie zwarjowałem, jeno wiem i koniec. Byłem wczoraj w Krępach.

— Laboga, co ty gadasz?!

— Ano tak. Siedzę sobie — mówi— przed pałatką, gwiazdy wszystkie wyszły, księżyc taki okrąglutki świeci, a mnie tak się jakoś cni, rady sobie dać nie mogę. Zmęczyło mnie już całkiem. Aż tu odrazu wydaje mi się, że jestem w Krępach, wędruję tak sobie ode dworu tą drogą, wysadzoną topolami. Doszedem tak do krzyża, klęknąłem i mówię pacierz. Mówię, mówię, nagle jak ci się zerwie wiatr okrutny, wszystkie topole zaszumiały i wołają: „Módl się.“ Jezus Marya! zerwałem się, chcę uciekać, nogi dygocą, stąpić nie mogę, a topole wołają: „Módl się, Antek, za ojca, za matkę, za Krępy całe, Antek, Antek...“ Cosik mnie za serce szarpnęło: nie wrócę już do ojców i... obudziłem się.

Skończył. Patrzę na niego, chłop ledwie nogi ciągnie. Potknął się raz i drugi; złapałem go na ręce, a on już jak nieprzytomny powtarza:

— Cosik za serce, za matkę, za ojca, za Krępy całe...

Nadbiegł oficer.

— Wziat' w laziaret!

Ano w lazarecie mu tam niewiele pomogli. Żeby mu tak dali Krępy, możeby i ozdrowiał. We dwa tygodnie zmarło mu się na zapalenie mózgu. Przepowiedział sobie, panie, i nie wrócił. Ale dusza jego pewnie powędrowała na nasze pola, bo chłop wart był szczęśliwości anielskiej i Bóg mu ta tego nie odmówił.

. . . .

Zostałem sam w rocie. Tęsknota mnie gryzła bez upamiętania. Osłabłem zupełnie. Niosę czasem łyżkę grochówki do ust i tak mi się jakoś gorzko robi, łzy napłyną do oczu, jeść nie mogę. Położę łyżkę i odchodzę od miski, a wachmistrz krzyczy zły.

Męczyłem się, męczyłem, nareszcie puścili.

Pamiętam jak dziś, jesień była wczesna i pierwszy liść spadał z drzew. Ledwiem na stacyi wyskoczył z wagonu, nie popasałem, jeno tobołek na plecy i marsz. Trząsłem się cały, to zimno mi się robiło, to gorąco, kłusem prawie przeleciałem te trzy mile. Na granicy Kręp był las. Ej, las panie znajomy, las ukochany, każde drzewo znane!

Wieczór się robił, słońce zachodziło i chwilami zrywał się lekki wiaterek. Las było widać coraz bliżej. Leciałem jak na skrzydłach, tchu mi brakło. Dopadłem nareszcie. Las panie, bór, mój jedyny, śpiewający mój bór. Każda sosna, zdawało mi się wołała;

— Józiek, a widzisz, znoweś z nami, a myśmy czekały, czekały...

A dąb to ci tak nachylał się do mnie, jakby się modlił i błogosławił. Zdusiło mnie coś za gardło, nie mógem wytrzymać. Jak rżnę czapkę o ziemię, jak ryknę. Rzuciłem się na igliwie jak długi. Leżę, a tu ci coś tak mną trzęsie, nikiej fybra, a bór szumi i szumi... mocny Boże!

Przeleżałem tak z godzinę i dopiero zacząłem przychodzić do siebie. Jak pijany podniosłem się i poszłem do wsi. Bór śpiewał, kieby anieli, pierś mi tak rozsadzało, że aż dech mi się spierał. Ode wsi ciągnął zapach palonego torfu i cienkie smużki dymu szły lekko w niebo z zczerniałych kominów. Nareszcie pierwszy pies na mnie zaszczekał i wszedłem pomiędzy chaty. Gospodarze siedzieli na przyżbach, dziewczyny śmiały się i chichotały do parobczaków — serce mi dygotało. Podbiegłem do mojej izby. Zośka też siedzi na progu, obok dzieciak taki duży; wyrósł, ale babsko to się zmizerowało...

— Oj rety, Zośka, Jasiek! — jak wrzasnę i lecę do niej...

Ano i witaliśmy się, witali...

. . . .

Nie wiedziałem, że się tak zaraz żegnać przyjdzie. Tęskniło się, tęskniło za wszystkiem, poradował się człowiek, pocieszył chwilę, a dzisiaj co? I Zośka w grobie, i Jasiek w grobie, tylko zagon został jeden. Dziesiąta trawa na grobie moich wyrasta i dziesiąty raz to pole obsiewam i myślę tak sobie, że oni tam, w niebie cieszyć się muszą i weselić, kiedy na naszych zagonach kłos złocisty pod wiatrem się kładzie, niby fala naszej Wisły, kiedy się pola modlą takim kłosem złotym i taka woń mocna idzie z łąk i pól przed tron Boski.

K. Wöycicki.

Poznań, 2. 11. 1900.



Nasze illustracye.

„Widmo“ czyli „Widzenie“, które przedstawia illustracya albumowa, jest reprodukcyą jednego z sześciu kartonów arcydzieła Artura Grottgera p. t.: „Lituania.“

Obraz wyobraża cien poległego męża i ojca u progu izby z piersią przestrzeloną.

Sierota. Cały prawie numer dzisiejszy nabrał charakteru dnia zaduszek czyli dnia zadusznego, poświęconego żałobnym wspomnieniom, zwłaszcza w dziale illustracyjnym. Wdzięczna, choć smutna główka „sieroty“, str. 1170, wychyla się z kart „Pracy“ z wyrazem zadumy w wzniesionych ku niebu oczach, jak gdyby tam w górze wzrokiem duszy młode dziewczątko widziało cienie drogich osób, uśmiechających się ku niej melancholijnie, a miłośnie. Dusza tego dziecka, rozkwitającego w dziewicę, nie zdaje sobie jeszcze całej sprawy z brzemienia sieroctwa, które na nią los srogi zwalił, dlatego w owej tęsknej zadumie niema rozpaczliwego charakteru, gorzkich łez i bolesnej rozterki; jest jeszcze świeża wiara w tę nadziemską opiekę, która strzeże i otacza opuszczone sieroty i krzywdy im nie daje zrobić na ziemi. Pędzel znakomitego malarza monachijskiej szkoły, mistyka i fantysty, myśliciela i poety, dziwacznego często w swoich pomysłach, ale oryginalego zawsze, pędzel Gabryela Maxa, wypieścił z całą właściwą sobie subtelnością rysy dziewczęcia, opromieniwszy je urokiem czystości serca i myśli, świeżości duszy i wiosny życia.

r.



Bohater w sukmanie.

Wspomnienie w osiemdziesiątą trzecią rocznicę śmierci Naczelnika † 15. 10. 1817.

„Czemu tęsknisz, biedna duszo,
Czemu trosk cię szpony kruszą,
W oku krople łez?...
Śnij — w snach znajdziesz ukojenie,
Ojców drogie ujrzysz cienie,
Żalów znajdziesz kres!“

Tak mi szepce senna cisza,
Co powoje marzeń zwiesza
Na znękaną skroń —
Dumam... Czarownemi sploty
Rwie mię sen, gdzie promień złoty
Barwi niebios błoń.

. . . .

Słyszysz działa? Bój wre dziki,
Na śmierć zbrojne pędzą szyki,
Haseł lata głos:
„Bądź nam tarczą, Ojców Panie!“
Gromi wrogów, Mąż w sukmanie,
Wśród pochrzęstu kos...

. . . .

Pierzchnął sen... Przed oczy moje
Bohaterów płyną roje,
Płyną w wspomnień mgle...
Kos poświsty się ozwały!
Z taką bronią w pole chwały
Lud swych synów śle!

Pierzchnął sen... W zbolałem łonie
Ufność — żagwią szczęścia płonie,
W sercu jutrzni blask...
Czuję, że się modlić trzeba:
„Patrz Kościuszko na nas z nieba,
Wiedź w swobody brzask...“

Choć i dziś się niebo chmurzy,
Choć nie widzim w mrokach burzy
Często prawych dróg,
Ufność bracia! Przecież wstanie
Kiedyś światły lud w sukmanie —
Za nim będzie Bóg!...

T. N.

Dnia 30 października br. toczył się proces przeciw redaktorowi naszego pisma p. Władysławowi Siemiątkowskiemu, z powodu zamieszczonego w nrze 32-gim „Pracy“ z dnia 5 sierpnia br. artykułu p. t. „Polityka pięści“. W odnośnym artykule dopatrzyła się prokuratorya rzekomo obrazy komisyi kolonizacyjnej. —

Prokurator i sąd nie mogli nabyć przekonania, że komisya kolonizacyjna jest prawem wyjątkowem i krzywdą dla Polaków, a że artykuł brzmiał właśnie przeciwnie, — przeto zasądzono naszego redaktora zupełnie w myśl wniosku prokuratoryi na 6 miesięcy więzienia, a nadto rozporządzono natychmiastowe aresztowanie tegoż.

W naszych oczach odprowadzono p. Siemiątkowskiego do więzienia i nie było nam możliwem uścisnąć mu dłoni na pożegnanie; — pan Siemiątkowski, skazany już poprzednio na 5 miesięcy więzienia — również za obrazę komisyi kolonizacyjnej i hakaty, ma 11 miesięcy, a więc nieomal rok cały do odsiedzenia za kratami.

Jedyną pociechą dla p. Siemiątkowskiego jest, że cierpi za sprawę dobrą.

Wrażenie zrobiło na sędziów i prokuratora śmiałe wystąpienie p. mecenasa Chrzanowskiego, który bez ogródki w dobitnych słowach zaznaczył, że to, co zawierał odnośny artykuł — że to każdy Polak, i on osobiście jako obrońca — i cały naród polski w zupełności podziela, a ponieważ zapatrywania prokuratoryi i sądu niezgadzają się z temi pojęciami prawnemi, które on uważa za podstawę prawodawstwa konstytucyjnego i sądownictwa — ***przeto zrzeka się wogóle dalszej obrony.***

Za tak śmiałe wystąpienie składamy p. mecenasowi Chrzanowskiemu niniejszem publicznie nasze serdeczne podziękowanie.

W przyszłym numerze zamieścimy obszerniejszy referat z tej poniekąd bardzo ciekawej sprawy.

Kronika.

Jesień. Niebo szare, zieloność drzew przybiera barwę żółtą, wicher świszczy po pustych ugorach — wszystko wskazuje na to, że pora, w której wszystko wrzało życiem, się skończyła i jesień się rozgościła, że wnet biały całun śniegu okryje martwiejącą przyrodę i zniewoli ją do zimowego snu.

W taką to porę roku przypada dzień zaduszny.

Smutny jakiś urok ma ten dzień dla wszystkich, którzy mają za kim i po kim łzy ronić! Żałobny i smutny ten urok zwiększa jeszcze tło jesienne, owo tło szare, ponure niemal, przypominające nam naszą znikomość, nasz zgon. A już nikt więcej nie ma przyczyn do smętnej żałoby, do rzewnych wspomnień w dniu zadusznym, niż my — my biednej Polski dzieci. Przecież wspomnienia roku 1830—31 to jeden wielki dzień zaduszny, dalej data 46, 47 i 48 a wreszcie 63! Iluż to bohaterów legło za sprawę ojczystą! Szczęśliwi ci, którzy, ległszy na polu chwały, znaleźli chlubny grób w ojczystej ziemi i którym, choć skromny krzyż postawili rodacy. Lecz iluż to zakończyło żywot męczeński w kazamatach twierdz pruskich i austryackich, iluż gniło w cydateli warszawskiej, w dalekich podziemiach Kronsztadtu i Petersburgskich fortów, iluż w ciemnych kopalniach sybirskich gubernii, iluż padło ofiarą Nowosilcowów, Murawiewów i tylu innych azyatycką dzikością znamiennych siepaczy? Ziemica bohaterów, ziemica męczeńskich cudów, ziemica ofiar, Chrystusowej niemal wzniosłości! Ziemica łez i szału pełnego uniesień, ziemica rozpaczy bezdennej i wiary niezłomnej, ziemica miękkości sybarytów i hartu stali!

Dla takiej ziemi i dla takiego narodu ma dzień zaduszny inne znaczenie!

Idzie w tym dniu po przez kraj cały wielkie łkanie boleści, a zarazem pierś rozpiera się dumą — bo gdzie jest kraj, któryby tyle przecierpiał, gdzie ziemia, któraby tylu wydała bohaterów i męczenników! Od Wileńskich cmentarzy, gdzie spoczywają kości naszej bohaterskiej młodzieży, katowanej przez Murawiewów, przez cmentarze Powązkowskie, gdzie groby tylu „dzieci warszawskich,“ przez błonia żyznych Kujaw, przez Małopolskę, o Wawelu i Skałki mury się odbijając, idzie ku Wielkopolsce jeden wielki potężny głos z piersi zbolałych a wierzących: *„A światłość wiekuista niech im świeci na wieki!“* A po tem westchnieniu płynie myśl ku niebiosom, dotąd niewzruszonym: *Czyż tyle poświęceń, męczeństw i ofiar musiałoby być za nic?*

Płoną świeczki i lampki różnokolorowe po cmentarzach, lud, dawne zachowujący obyczaje, obchodzi „tryzny“ i „Dziady“, „radunice“ i „rękawki“ i „zaduszki“ — kornie klęczymy przy grobach drogich nam osób, przy grobach zasłużonych — a nad grobami wiatry jesienne wygrywają w bezlistnych konarach drzew, jak na harfy strunach, akordy żałobne. To jakby marsz żałobny Chopina, z tak olbrzymim zasobem żałobnej intuicyi, wyśpiewany przez Ujejskiego.

„Tyle dzwonów, skąd te dzwony tak w mej głowie huczą.“ — O ten piewca żałoby narodowej pojął jej ogrom, odczuł ją, jak nikt inny. I on twórca hymnu „Z dymem pożarów,“ Kornel Ujejski, legł w grobie i nad nim jesienny wiatr wygrywa wiecznej żałoby melodyą.

I Asnyk złożył do grobu serce swe zbolałe, tak gorąco płonące dla Ojczyzny. A spojrzmy bliżej, rozejrzyjmy się w koło siebie w ostatnich tylko miesiącach, bo niepodobna z najbliższych nawet lat wymienić tych, którzy z nami walczyli, a których dziś pomiędzy nami niema. Wymienię jednakże zmarłych ostatniemi laty kolegów po piórze, oto Franciszek Dobrowolski, oto Julian Bukowiecki, oto dr. Maksymilian Kantecki. Śmierć ich opłakujemy w Wielkopolsce, a Warszawa opłakuje śmierć Koeniga i Klemensa Junoszy, autora „Pająków.“ Nie mały jest szereg obywateli stanu świeckiego i duchownego, którzy w ostatnich ubyli nam czasach. Oto dr. Sylwester Wendland, hr. Stefan Kwilecki z Dobrojewa, profesor dr. Leon Wituski, X. Kasper Kaczmarek, dr. Teodor Dembiński, Lekszycki, archiwaryusz, Łukomski Józef, X. kanonik Edward Kegel, X. Namszanowski, X. Michnikowski, — znany mąż stanu i były minister Ziemiałkowski Floryan, prof. Jakowicki, X. Apolinary Tłoczyński, Simon Wojciech, zacny choć skromny literat, Konstanty Szczaniecki, X. dziekan Chybicki, Władysław Stablewski, Milewski prof., dr. Janowski, młodzian najlepsze rokujący nadzieje, hr. Dąbski z Żakowa, sędziwy X. Szubert z Parlina, X. Zawadzki z Bukownicy, Józef hr. Mielżyński, Lucyan Grabski, znakomity finansista, malarz-artysta Franciszek Steymetz *), X. Terczewski z Komornik, Popielarz, gospodarz z Pałuk, słynący gospodarnością i w ostatnim czasie ks. prob. Janke.

A Galicya? Tam jakieś fatum zawisło nad książętami Kościoła. W krótkim czasie rozstało się z tym światem trzech biskupów: X. metropolita Sembratowicz, X. arcybiskup Morawski i X. biskup Łoboz, z wybitnych zaś mężów stanu ubył Galicyi Fr. Smolka i wymieniony już Ziemiałkowski.

Kończę kronikę żałobną, chociaż do wyczerpania jej daleko. W dniach tych jednak spełniajmy nasz obowiązek! Dążmy na groby! Oddajmy zmarłym cześć, oddajmy cześć zasłużonym!

Acer.

*) S. p. Franciszek Steymetz wykonał dla „Pracy“ rozmaite rysunki do illustracyi. Illustracya „Cmentarz“, zamieszczona na stronie 1171 niniejszego numeru jest także reprodukcyą rysunku ś. p. Franciszka Steymetza. — Przyp. Redakcyi.

Do naszych abonentów.

W interesie dobrej sprawy prosimy usilnie wszystkich Czytelników naszego pisma, by w razie niepunktualnego otrzymywania „Pracy“ natychmiast na korespondentce nam o tem donieśli, z podaniem dokładnem numeru pisma, dnia, oraz urzędu pocztowego, z którego „Pracę“ otrzymują. Doświadczenie uczy nas, że jedynie energiczną współpomocą Czytelników złemu w tej mierze można zaradzić. Niektórzy z naszych prenumeratorów nadesłali nam już bardzo cenne informacye, dotyczące rozsyłki naszego pisma, których ze względu na ustawę prasową nie możemy publikować, ale z których uczynimy stósowny użytek w miejscu miarodawczem.

Wiadomości.

Z powodu numeru niniejszego, poświęconego przeważnie uroczystości Dnia zadusznego, nie zamieściliśmy tym razem drukujących się regularnie dwóch powieści.

Do skompletowania kwartalników potrzebne nam są No. 41 i 43 „Pracy“ z r. b. Szanownych Czytelników prosimy o łaskawe nadesłanie nam takowych za co im się w inny sposób wywdzięczymy.

Z teatru. W sobotę dnia 3-go listopada szósty występ p. Broccard. Odegranym zostanie nowy zupełnie utwór „Podprefekt.“ Utwór to dowcipny i humoru pełen, a gościowi naszemu daje znakomitą sposobność do rozwiązania wszystkich zasobów wdzięku i finezyi, jakie p. Broccard posiada w wysokim stopniu.

W niedzielę dnia 4-go listopada po południu o godz. 3ciej „Szukajcie dziecka“, piękny wodewil ze śpiewami i tańcami. Ceny do połowy zniżone.

Tegoż dnia wieczorem po raz drugi wesoła krotochwila „Podprefekt.“ Występ gościnny p. Broccard.

Występy p. Broccard cieszą się wielkiem powodzeniem i ściągają liczne tłumy do teatru.

„Podprefekt“ granym był dotychczas nieomal na wszystkich scenach Europy, zyskując szturmem całkowite powodzenie. Gość warszawski odegra trudną, ale dowcipną rolę Simonety, aktorki.

Radzimy na sobotę i niedzielę zaopatrzyć się wcześnie w bilety, gdyż teatr tak w sobotę jak też w niedzielę z pewnością będzie wykupiony.

Fundusz Omańkowskiej. Zebrane dotychczas przez Redakcyę „Pracy“ na fundusz imienia Janiny Omańkowskiej 124 mrk 52 fen. z upoważnienia p. Omańkowskiej odebrałem, z czego niniejszem kwituję z prośbą o dalsze składki.

Panna Omańkowska przeznacza pieniądze te na rzecz Towarzystwa „Samopomocy.“

Poznań, dnia 29go października 1900.

Dr. F. Niegolewski,
prezes Tow. „Samopomoc.“

Szanowna Redakcyo!

Prosimy uprzejmie o zamieszczenie załączonego komunikatu:

— Do kasy Towarzystwa „Samopomoc“ wpłynęło m. 100 od grona Poznańczyków za pośrednictwem i na fundusz p. Janiny Omańkowskiej. m. 100 od N. N. za pośrednictwem ks. prebenderza Kłosa, z czego niniejszem kwitujemy.

Dziękując w imieniu naszej dziatwy za dotychczasowe datki prosimy o dalsze składki.

Dr. Niegolewski, prezes. Ignacy Andrzejewski, Skarbnik.

Na fundusz imienia Janiny Omańkowskiej złożyli w dalszym ciągu pp.: prof. dr. N. Cybulski z Krakowa 2 korony czyli po zamianie 1 mk. 70 fen. Józefowa Rosnerowa z Krakowa 2 korony czyli po zamianie 1 mrk. 70 fen., nie przyjęte przez A. R. od prof. K. K. z Krakowa za depeszę 6 koron, oraz Wanda Estreicherówna z Krakowa 1 koronę, razem 7 koron czyli po zamianie 5 mrk. 94 fen., zebrane na wieczorku Stowarzyszenia czeladzi katolickiej w Ostrowie 9 mrk. 80 fen., zebrane na posiedzeniu Towarzystwa Przemysłowego w Kobylinie 10 mk.

Dotąd zebraliśmy na ten cel 153 mrk. 66 fen. Z tej sumy doręczyliśmy Towarzystwu Samopomocy 124 mrk. 52 fen. pozostało zatem u nas 29 mrk. 14 fen.

Na odbudowanie wieży na Jasnej Górze nadesłali w dalszym ciągu z Przependowa: B. L. 1,50, J. L. 50 fen., K. L. 25 fen., A. B. 25 fen., M. L. z Poznania 1 m., F. Janiszewski z Berlina 3 m.

Razem złożono dotąd na ten cel 144 m. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Cukiernią, z wielkim komfortem urządzoną, otworzył p. Teodor Rudnicki, były właściciel renomowanej i pierwszorzędnej cukierni w Gnieźnie, w mieście naszem przy ulicy Rycerskiej nr. 39. Przedsiębiorstwo to znanego i szanowanego rodaka, cukiernika z zawodu, cieszyć się będzie bez wątpienia poparciem naszych Czytelników. Panu Rudnickiemu zasyłamy staropolskie: „Szczęść Boże!“

Pan Karol Paliszewski otworzył w mieście naszem przy ulicy Berlińskiej nr. 11-y skład cygar, papierosów i tytuni pod firmą „Osman.“ Zwracając na odnośne ogłoszenie uwagę Szanownej Publiczności, polecamy jej względom skład cygar p. Paliszewskiego, któremu życzymy jak najlepszego powodzenia.

Słynna, pierwszorzędna, renomowana fabryka wódek B. Kasprowicza w Gnieźnie nie potrzebuje reklamy. Wyroby tej fabryki są do nabycia w Poznaniu w pierwszorzędnych handlach, cukierniach itd. (patrz ogłoszenie stale zamieszczane).

Hotel jest do nabycia na prowincyi od Niemca. Na korzystne to kupno zwracamy baczną uwagę reflektantom. Oferty przyjmuje i bliższych udziela informacyi firma „Katon“ (patrz ogłoszenie.)

Rzetelna, stara i znana powszechnie firma „N. Zientkiewicz“ w Poznaniu, przy Starym Rynku 35 poleca rozmaite instrumenta muzyczne po tanich cenach, mianowicie harmoniki, skrzypce, gitary, katarynki samogrające itd. (patrz ogłoszenie.)

Kalendarz kartkowy, t. zw. „Biskupi“ na rok 1901, wydany nakładem firmy „S. Bendlewicz i Sp.“ w Pleszewie polecamy jako bardzo praktyczny Szanownym Czytelnikom. Jest do nabycia we wszystkich księgarniach i składach artykułów dewocyjnych.

Rogoźno, 20. 10. 1900. Kościół katolicki w Rogoźnie w świąteczną przybrał się szatę. Budowa świątyni tej, sięgająca czasów zamierzchłych, przedstawia się nader okazale i dowodzi lepszych czasów i zbożności wielkich naszych przodków. Wnętrze jednakże przez długie lata wiele pozostawiało do życzenia, a starania zmarłego przed rokiem księdza prałata Ostrowicza o upiększenie kościoła żółwim postępowały krokiem. Rząd bowiem, który zobowiązany jest płacić pewną część kosztów na odnowienie kościoła rogozińskiego, wielkie stawiał trudności przez to, że wykonanie robót malarskich zamierzał oddać innowiercy, a nie, jak tego żądał śp

prałat Ostrowicz, swemu rodakowi katolikowi. Dopiero następca, czcigodny ksiądz proboszcz Jaskulski, z podwójną energią zabrał się do pracy i po wielu trudach i mozołach rozpoczął dzieło odnowienia kościoła.

Jemu to mamy do zawdzięczenia, że wykonanie prac malarskich oddano rodakowi naszemu, artyście malarzowi, panu Krzemieńskiemu z Inowrocławia. I dobry zrobił ks. proboszcz Jaskulski wybór. Pan Krzemieński przez wykonanie swych prac w kościele naszym zasłużył sobie na uznanie i na nazwę artysty malarza, bo prace jego przedstawiają się po mistrzowsku i wpływają dodatnio na duszę człowieka.

Za pracę i mozoły wdzięczni jesteśmy tak czcigodnemu proboszczowi, ks. Jaskulskiemu, jak nie mniej panu Krzemieńskiemu, który ku zupełnemu zadowoleniu wszystkich z zadania swego dobrze się wywiązał, i który godzien jest wszelkiego poparcia w jego zawodzie u wszystkich.

Zmarli.

Dnia 26-go z. m. w nocy umarł w zakładzie Sióstr Miłosierdzia w Poznaniu, ks. Bronisław Janke, proboszcz w Goniembicach. Urodzony w r. 1843cim, otrzymał święcenia kapłańskie w 1869-ym roku, a proboszczem w Goniembicach był od r. 1893.

Starszej generacyi w Poznaniu jest śp. ks. Bronisław Janke bardzo dobrze znany z czasów walki kulturnej z obywatelskiej pracy w Towarzystwach. Była to prawa dusza, natura żywa, chętna, otwarta, szczera, czasami nadmiar szczera. Należał do rzędu tych wikaryuszów katedralnych, którzy, jak śp. ks. Tłoczyński, żyjący jeszcze ks. Władysław Jaskulski, jak ks. dr. Chotkowski, którzy w owym ciężkim czasie walki kulturnej oddawali swe usługi na obronę Kościoła i narodu, pracując w prasie, w stowarzyszeniach i na wiecach i — w więzieniach. R. i. p.

* * *

W Raciborzu na Sląsku umarł długoletni poseł centrowy do sejmu pruskiego z okręgu raciborskiego śp. Edward Zaruba. Był on pierwotnie nauczycielem, później właścicielem cegielni. Sp. Zaruba uważał się jeszcze za Polaka — dzieci jednakże wychował po niemiecku. Praw ludu polskiego bronił w Berlinie wytrwale, jednakże zwalczał ruch polski na Slązku. Z tej też przyczyny w roku 1893-im lud polski postawił w jego miejsce innego kandydata, a gdy Centrum na żaden kompromis z polskim komitetem zgodzić się nie chciało, wynik wyborów był zarówno dla Centrum jak i dla Polaków niepomyślnym, gdyż wybrani zostali kandydaci rządowi. Centrum samo im do tego dopomogło, popierając przy prawyborach „walmanów“ konserwatywnych, aby tylko nie dopuścić do wyboru Polaków. Odtąd już śp. Zaruba nie brał udziału w życiu politycznem. Umarł w sędziwym wieku lat 87. R. i. p.

Od Redakcyi.

Staremu Czytelnikowi z pod Łabiszyna. Obrazka, o którym Pan wspominasz w liście, nie odebraliśmy.

Pani Zofii S. Jestto choroba nerwowa; sposób jej leczenia wskazać może tylko lekarz-specyalista.

Pięknej Czytelniczce. Małżeństwa w tym stopniu pokrewieństwa zawierane być mogą tylko za pozwoleniem osobnem Władzy duchownej.

Wielbicielowi artyzmu. Tak!

Prenumeratorowi z prowincyi. Najlepiej poinformować się wprost w administracyi tego pisma.

Pan Cieślak. Zyczenie Pana w sprawie śpiewnika podzielamy i poddaliśmy je pod rozwagę lwowskiego towarzystwa Wydawniczego, które się zapewne wydaniem tegoż zajmie.

Pani J. Szymańska w Krakowie. Dziękujemy za słowa uznania.

Szanownym Korespondentom z Dysseldorfu, którzy nadesłali nam listy z zarzutami na p. Bochyńskiego tamże donosimy, że pan B. dotychczas nie dał nam dowodu, aby jego dzieci mówiły i czytały po polsku. Uważamy zatem stawione mu zarzuty, że jest złym Polakiem, za słuszne, i na tem sprawę zamykamy, zaznaczając, że w ten sam sposób zapatrywać się będziemy na każdego, kto wśród obcych nie dba o polskie wychowanie dzieci. Prosimy o krótki rys dziejów tamtejszych towarzystw polskich.

Towarzystwo piekarzy w Berlinie prosimy o nadesłanie wytłomaczenia zaszłych na zebraniu 21. X. awantur. Na razie odnośnej korespondencyi przez wzgląd na to nie umieszczamy.

Panu Przyb. Lombriasco. A kto nam zaręczy, że teraźniejsza korespondencya odpowiada rzeczywistości, jeśli jej autor sam odnośnie do poprzedniej każe uważać się za potwarcę? — Ponieważ w ciągu najbliższych miesięcy Dr. Rakowski wybiera się w podróż do Włoch, on sam w naszem imieniu złoży wizytę OO. Salezyanom i będzie się starał wiarogodne pojęcie o stanie rzeczy sobie wytworzyć.

Do Lidzbarku. Za wiersz z uznaniem dla p. Omańkowskiej dziękujemy. Szkoda, że bezimienny. Takie listy idą prosto do kosza.

Pan Stanisław Kurka. Na list Pański niebawem odpowiemy obszernie w numerze dla młodzieży polskiej.

Panu Gustawowi Kozł. we Lwowie. Zanim będziemy mogli umieścić prosimy o czytelniejszy manuskrypt, bo nadesłany nam naprózno się silimy odcyfrować.

Panu Feliksowi Kn. w Grodzisku. Wiersz nadesłany nie nadaje się wcale do druku.

Panu Zygmuntowi G. w Mogilnie. Radzimy Panu wziąć pisownią i gramatykę języka polskiego do ręki i jeżeli Pan będzie potem później odczuwał chęć do pisania wierszy, to jeszcze wprzódy radzimy czytać naszych poetów Mickiewicza i Słowackiego dla poznania ich i dla własnej wprawy.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

Papierosy
z fabryki
SULIMA
są
najlepsze.

Produkcya roczna: 151 milionów.

Jeneralna ajentura i główny skład
S. Żychliński w Poznaniu.
Cygara w największym wyborze. 368

Kawaler, liczący lat 26, artysta-przemysłowiec z dobrze prosperującym interesem w Saksonii w wielkiem mieście, szuka dla braku znajomości pań na tej drodze

żony

z stosownym majątkiem.
Szanownych rodziców lub opiekunów uprasza się o łaskawe oferty pod lit. **A. 636** do Ekspedycyi „Pracy“ do 10. b. m.
Sprawa honorowa. Żarty wyprasza się. 636

Bulion wytłoński i Polski dominialny,
Herbaty Ruskie,
Porter Angielski,
Sardynki w oliwie,
Groszki, Szabelki,
szparagi, kompoty i marmolady
poleca 639
hurtownie i detalicznie
J. Smyczyński,
Št. Marcin 27.

Bazar
Św. Marcin 54
poleca na sezon zimowy towary wełniane i trykotowe, pp. suknie gotowe, wełny, towary krótkie, chustki, szale. Bieliznę damską — męską — dziecinną po nader tanich cenach. 640
Z wysokim szacunkiem
Marya Różanowicz.

Tapety
w najnowszych pięknych deseniach poleca od najpojedyńcz. do najwykwintniejszych tapet salonowych 190
Elbląski interes wysyłkowy tapet
C. Quintern, Elbląg (Elbing).

Ból zębów spróchniałych
usuwa natychmiast na pewno **„Kropp'a wata do zębów** (20% waty Carvacrol) za flaszkę 50 fen. tylko prawdziwa w Centralnej drogeryi. B. Śniegockiego i u Teodora Müllera Berlińska 16 i Głogowska ul. 87.

Wiele 1000
cierpiących na kaszel i płuca zawdzięcza swe ocalenie mej słynnej na świat cały kuracyi t. zw. 515
American coughing cure.
Kaszel i wyrzucanie flegmy ustaje już po dniach kilku, tysiące osób wyzdrowiało. Katar, chrypka, zaflegmienie i świerzbienie w gardle ustają natychmiast. Cena za flaszkę 2,50 m., na 3 flaszki 6 marek za zaliczką lub też poprzedn. nadesł. pieniędzy. Niezamożni otrzymają preparat za pośw. władzy miejsc. lub też księdza za połowę ceny.
Skład generalny: **Oskar Lutze**, Berlin-Reinickendorf (West.)

Handel kolon.
i wiktualny, dobrze się procentujący jest z powodu zmiany stosunków do odstąpienia.
K. Szymańska.
Poznań W. 6. Wielka Berlińska 35.

Fortepiany
najnowszej konstrukcyi, o pełnym i dźwięcznym głosie, nowe i używane, poleca tanio 605
A. Drygas,
ul. Rycerska nr. 33, narożnik św. Marcina.

Elementarz
Polski Poznański
t. zw. z Aniołkiem 80 str. 43 ryc., opr. 30 fen. z przesł. 40 fen. poleca
A. Cybulski,
księgarnia, ***Poznań.***

75 fen.
kwartalnie kosztuje teraz
„Szkółka Domowa“
jedyny w zaborze pruskim tygodnik obrazkowy dla
samouków:
dzieci i młodzieży. Zawiera osobną 579
Szkółkę rodzicielską
czyli naukę, jak rodzice w domu uczyć mają dzieci tego, co najpotrzebniejsze, oraz naukę abecadła i naukę pisania z wzorami i wskazówkami:
Sam się pisać nauczę!
Na poczcie „Szkółka“ zapisana we wykazie gazet
II Nachtrag 126 a.
W Poznaniu zapisywać ją można w każdej agencyi gazet za 75 fen., z odnoszeniem do domu za 1 mk.
Numerów na okaz bezpłatnych żądać trzeba pod adresem: **„Szkółka Domowa“ Poznań (Posen) Piekary nr. 7, III.**

Dla Narzeczonych!!
Bardzo wiele pieniędzy
zaoszczędza każdy, kto — kupując ślubne pierścionki, zegarek, lub biżuteryą żąda mego katalogu. 297
J. Strzelecki, Mogilno, (filia w Inowrocławiu).

J. K. Jasielski
adwokat ludowy
(pozasł. aktuaryusz sądowy)
w Poznaniu,
Stary Rynek 88 II ptr.
spisuje kontrakty, skargi, podania do wszelkich władz, obrony w sprawach kryminalnych, informacye w sprawach procesowych, reklamacye do podatku i wojskowości i wykonuje wszelkie prace piśmienne.

Farbiernia
i chemiczna pralnia
Gustawa Schaera
w Poznaniu.
Fabryka Poznań W. 6, ul. Forteczna 39.
Skład św. Marcin 14,
poleca się do chemicznego czyszczenia i farbowania wszelkiej odzieży prutej lub też w całości, oraz do prania pluszów, aksamitów i piór, portyer i t. d. 558

Stolarnia
budowli, mebli i urządzeń biurowych
Specyalność:
urządzenia składowe
w najnowszym stylu.
Wykonanie artystyczne.
P. Rejminiak,
Poznań, Bramkowa 11.

Ucznia
dobrych rodziców potrzebuje i przyjmie zaraz do handlu skór i fabryki holewek.
W. Szelmeczka.
Inowrocław. 613

Handel
ptaków
C. Seilera
w **Poznaniu**, W. Garbary 34 poleca swój bogato zaopatrzony skład w papugi i rozmaite tak krajowe jak też zagraniczne ptaki ozdobne i śpiewające po najniższych cenach. 563
Akwaria, żer wszelki dla ryb i ptaków, fretki pp. łapki do chwytania królików, siatki do chwytania ptactwa itd.

Piękne kupno z rąk niemieckich!
Hotel
w jednem z większych miast księstwa, **najstarszy w mieście**, renomowany, gdzie mianowicie **wszyscy urzędnicy** etc. wstępują. **Jedyna** sala dla zabaw towarzyskich i przedstawień teatralnych.
Łaskawe oferty uprasza się nadesłać do firmy 626
„Katon“
właśc. **N. Dobrowolski,**
Poznań, św. Marcin 13.

Tylko raz w życiu
nadarzy się sposobność otrzymania następujących drogocennych przedmiotów tylko za 4,50 mk. Piękny zegarek pozłacany, 3 letnia gwarancya, piękny krawat, trwała sakiewka skórzana, piękny oprawiony notes, 6 dobrych chustek kieszonk. garnitur guzików do koszul i mankiet złoto double piękny łańcuszek do zegarka, piękny scyzoryk z przynależ., para wspaniałych srebrnych butonów, 100 sztuk różnych drobiazgów dla gospodyń. Wszystko to z zegar., który sam już wart jest te pieniądze kosztuje razem tylko 4,50 mk. przez zaliczkę poczt. z składu fabryki **Jos. Kessler,** Wien, IX. Porcelangasse 18, P. Za przedmioty niepod. się pieniądze z powrot. 630

Cały Poznań mówi
o tem, jak tanio można kupić u
M. Joachimczyka
Fryderykowska ul. 2. I piętro
jupy dla chłopców i mężczyzn.
Bardzo wielki wybór. Stałe ceny. Także mam na składzie sukienne spodnie dla chłopców szkolnych. 638

Polecamy naszym nakładem wydany na rok 1901
kalendarz kartkowy
tak zwany „Biskupi“.
Do nabycia we wszystkich większych księgarniach i składach artykułów dewocyjnych.
S. Bendlewicz & Sp.
Pleszew. 635

Mam zamiar sprzedać
mój dom,
masiw budowany z ogrodem w ożywionej ulicy miasta i tylnem nowo zabudowaniem dla lokatorów, odpowiedni na każde przedsiębiorstwo, zgłoszenia przyjmuje
Wł. Frelkiewicz
Raszków. 637

Nauczycielka
lub też wyższa bona dla 2 panienek w 7 i 9 wieku potrzebna natychmiast w mieście Poznaniu. — Bliższych szczegółów udzieli ekspedycya „Pracy“ pod lit. G. G. 2.

Poszukuje się do wynajęcia
Remizy
ilemożności w pobliżu Wilhelmowskiego placu. Zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy“ Rycerska 38.

W niedzielę dnia 11 listopada 1900 Polsko-katolickie towarzystwo Św. Józefa obchodzić będzie w Bernburgu 6-letnią uroczystość swego założenia. Na intencyą Towarzystwa odprawi się msza św. w niedzielę rano o godz. 7½ wieczorem zaś o godz. 6-tej urządza Towarzystwo **zabawę z tańcami,** na którą wszystkich polskich robotników i robotnice uprzejmie zapraszamy.
Wstęp 50 fen. 633
Zast. przewodniczącego
J. Spichalski.

Młodszy
pomocnik
potrzebny zaraz do składu bławatnego. 632
Bank ludowy i konsumowy, w Lubawie
(Loebau W. Pr.)

W mieście na prowincyi z 2000 mieszkańcami, prawie sami Polacy, także okolica prawie czysto polska, jest na sprzedaż **kamienica** narożnia w rynku, w której istnieje od samego początku interes towarów łokciowych i krótkich, jedynie polski obok 4 żydowskich. Ponieważ jest utrzymanie pewne a niedawno od żyda wykupione, sprzedam tylko Polakowi tanio i z małą zaliczką z towarami lub bez takowych. Zgł. do Eksp. „Pracy“ pod lit. D. nr. 606.

W mej drogeryi
znajdzie chłopiec z odpowiednią kwalifikacyą natychmiast miejsce jako 609
uczeń.
K. Strzyżewski, Gostyń.

Ceglarz
żonaty w trzydziestym drugim roku, obeznany z wszelkiemi wyrobami w zakres ceglarstwa wchodzącemi, mogący wykazać się chlubnemi świadectwami, przyjmie posadę w Księstwie lub Galicyi od 1 Stycznia 1901 do parowej cegielni. Zgłoszenia z podaniem warunków do Ekspedycyi „Pracy“ pod lit. L. 623